№ 27. Warszawa, dnia 5 Lipca (23 Czerwca) 1884 r. Rok IV

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pcz ow do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Następny numer ekspedyowany będzie z nowego mieszkania PRAWDY przy ulicy Zielnej nr. 7-a.

NA STRAŻY ZDROWIA.

Umarło osób trzy, dwie, jedna, nie umarł nikt, buletyny brzmią łagodnie, a jednakże ten mały i oddalony punkcik czarny na południu Europy nie niknie w jej pamięci. Śród wczasów letnich, rozrywek, zabaw i wycieczek zewsząd biegną w tę stronę zaniepokojone spojrzenia, zewsząd pada uwaga na Tulon, w którym wylądowała azyatycka cholera. Hiszpania i Włochy odcięły się już podobno od zarażonej sąsiadki, Austrya obmyśla sposoby ratunku, Niemcy myślą o wyciągnięciu kordonu — słowem, mimo skromnego żniwa choroby i powolnego jej pochodu, wszystkie państwa, przylegające do Francyi, objawiają wyraźną trwogę i ubezpieczają się na wypadek nieszczęścia. Była nawet chwila, w której Wiedeń zerwał się do tak energicznej obrony*), jak gdyby już przed jego bramami stanęła niszcząca zaraza. W tej całej trwodze nie ma nic dziwnego. Na początku, w środku i drugiej połowie obecnego stulecia Europa zapłaciła cholerze tak straszną, pamiętną daninę, że dziś może drżeć na myśl powtórzenia się tej klęski w podobnym rozmiarze. Od lat kilku już niepokoją nas złe przeczucia. Zdaje się, jak gdyby owa azyatycka plaga z rozmaitych stron zakradała się do Europy i odparta od jej progów czatowała jedynie na dogodną sposobność, ażeby się przez znużone czujnością straże przekraść. W roku zeszłym powszechnie mniemano, że przeskoczy morze Śródziemne z Egiptu a nawet dostrzegano jej pazury w kilku wypadkach śród wojska irlandzkiego. Na szczęście były to tylko złudzenia lub też uduszono ją na brzegu. Po części zapewnie skutkiem tych obaw była wyprawa niemiecka do Egiptu i Indyj, pod kierownictwem dra Kocha, którego spostrzeżenia notowaliśmy w *Prawdzie*. Odkryty przez niego laseecznik w stawach indyjskich przelatywał przez całą prasę europejską, budząc wszędzie silne zajęcie, chociaż czysto teoretyczne. I oto teraz nabiera wagi życiowej, bo już nie ulega wątpliwości, że cholera zdołała wśliznąć się do Europy—jest w Tulonie.

Nie będziemy i nie możemy zabierać głosu w sporach o jej charakterze i natężeniu, ani stawiać wróżb co do możliwości jej postępów ku wschodowi; ale zastanowimy się nad godną w każdym razie uwagi kwestyą, czy my zachowujemy się wobec niej dość ostrożnie? Pytanie to narzuca się z tem większą mocą, że kraj nasz został świeżo zniszczony powodzią, która wytworzyła warunki bardzo przyjazne dla szerzenia się wszelkich chorób. Płynące z różnych źródeł składki po części biedę złagodzą, ale od głodu i niedostatków wielu rodzin nie ochronią. Pomyślmy nadto, że do zalanych i wilgotnych mieszkań, do suteryn, chat i zapadłych w ziemię domków wrócą tysiące ludzi, których zdrowie wystawione będzie na zabójcze wpływy. Czy nawet bez przyczyny, bez zarazy z zewnątrz same te warunki nie wystarczą do rozwinięcia zakaźnych chorób? A cóż dopiero stałoby się, gdyby cholera, która często przerzuca się z szybkością błyskawicy, upadła na naszym gruncie! Tulony, Marsylie, Paryże, Wiednie, posiadają całą sieć ulepszeń sanitarnych, o których my marzyć nie możemy, a jednakże muszą ciężko walczyć z każdą epidemią; jakże my więc poradzilibyśmy sobie z tak potężną, jak cholera! Bodajby cała obawa w tym względzie była płonną i nie usprawiedliwiła się w skutkach, ale lepiej zgrzeszyć przesadą w tym, niż w przeciwnym kierunku. Jeżeli miasta zagraniczne, niezbyt bliżej przysunięte do złowrogiego punktu, gorączkowo krzatają się około przygotowania obrony, to tem gorliwiej my o ratunku myśleć powinniśmy.

Co robić?

Znane są dobrze środki ratunkowe w tego rodzaju wypadkach, zresztą należą one przedewszystkiem do zadań rządów; my tylko chcielibyśmy władze miejscowe Królestwa w okolicach, objętych powodzią, pobudzić do starannego zbadania, czy warunki w tym obrębie nie grożą ogólnemu zdrowiu i czy nie uprawiają gruntu pod zarazę? Gdyby nawet cholera nie przedarła się do nas, tego rodzaju rewizya zapobiegłaby niezawodnie rozrostowi zakaźnych chorób miejscowych. Samo ograniczenie tyfusu, błonicy, szkarlatyny itd. byłoby dostateczną nagrodą tych starań. Pragniemy szczerze, ażeby nasze proroctwo okazało się fałszywem, ale przypominając sobie wypadki przeszło, w których prawie zawsze wielkim wylewom rzek towarzyszyły epidemie, nie możemy namawiać ogółu do snu spokojnego. Kilka bochenków chleba, kilka kwart kaszy, kilka sztuk ubrania wraz z zapomogą pieniężną — wszystko to jest bardzo cennym ratunkiem doraźnym, ale nie usuwa z nędznych i zalanych wodą mieszkań ani wilgoci, ani zepsutego powietrza, ani miazmatów, które się tam lęgą. Należy przytem pamiętać, że mokre lato potęguje jeszcze bardziej klęskę wezbrania wód w rzekach.

---

*) Miasto już podzielono na okręgi sanitarne i wyznaczono im lekarzy. Postanowiono rownież zbudować baraki, a ta ostrożność jest tem bardziej uzasadnioną. że z Tulonu uciekło kilkanaście tysięcy osób, które może rozniosą zarazę do miejsc bardzo odległych. Ucieczka ta z całego południa Francyi wzrastać będzie ciągle, jak tylko przekonano się, że rząd francuski taił, a przynajmniej łagodził w swych doniesieniach istotny stan rzeczy.

Kto ma pod tym względem najmniejszą wątpliwość, niech przejdzie ulicami warszawskiego powiśla i odwróciwszy oczy od ram „malowniczego widoku,“ od śladów „szaleństwa królowej rzek naszych“ — niech zajrzy do tych jak gąbki wilgocią nasiąkłych domków, w których mieszka ludność uboższa. Wtedy każdy uzna, że obok składek dla powodzian trzeba stanąć na straży zdrowia ogólnego i nie dopuścić rozwoju lęgnących się już może chorób.

Rolę tę w całym kraju naprzód podjąćby mogły utworzone dla rozdawania wsparć i zbierania wiadomości o stratach komitety powiatowe i gubernialne, złożone z przedstawicieli administracyi i społeczeństwa.

KAPITAŁ I PRACA.

(Rodbertus-Jagetzow).

III.

Potrzeby człowieka stanowią szereg wciąż odradzający się, wciąż wzrastający. Środki zaspokojenia ich mniej lub więcej prędko pochłania samo zaspokojenie. Tworząca te środki praca ograniczoną jest co do czasu i siły. Dlatego człowiek musi pracować ciągle i o ile możności najprodukcyjniej, żeby potrzebom owym bezustanku i wedle sił zadosyćuczynić. O ile jego działalność nie jest prostem zrywaniem dojrzałego owocu, o ile zwraca się ku środkom, na które natura dostarcza jedynie materyału, wymagającego przerobienia przez pracę i ani otrzymanie tego materyału, ani przerobienie samemi rękami uskutecznić się nie da — człowiek musi naprzód wyrabiać narzędzia i materyały w celu dojścia za ich pomocą do potrzebnych mu środków. Te ostatnie będzie spożywał i podczas spożywania znów produkował. Zjawisko to — to niezmiennie powtarzający się obieg zajęć gospodarczych człowieka, obieg, którego bliższe rozważanie najlepiej wyjaśnia różnicę pomiędzy *kapitałem* a *dochodem*. Dochód — to środki zaspokojenia, w jakie praca regularnie zaopatruje człowieka; kapitał natomiast, to narzędzia i materyały, z których i za pomocą których praca regularnie wytwarza ów dochód.

W ten sposób pociągnąwszy granicę pomiędzy kapitałem a dochodem, Rodbertus zwraca uwagę, iż pod tym względem nie podziela zdania wszystkich innych ekonomistów, którzy za najpierwszy kapitał poczytują zapas żywności, służącej do utrzymania producentów w czasie pracy nad nową produkcyą. Zdanie to bowiem jest błędnem i w konsekwencyi doprowadzić musi albo do zniesienia wszelkiej różnicy pomiędzy kapitałem a dochodem, albo też do spaczenia obu tych pojęć. Niewątpliwie, producent, nowe podejmując prace, spożywa pokarmy wprzód wytworzone i gdyby ich nie miał, musiałby je przygotować dopiero i nie mógłby jeszcze przystępować do pierwszych. W każdym razie atoli jest to tylko naturalny i konieczny stosunek wzajemności pomiędzy produkcyą a konsumcyą. Człowiek spożywa, podczas gdy wytwarza, i wytwarza, podczas gdy spożywa; nie konsumuje jednak, żeby produkować, tak samo, jak nie tworzy narzędzi i materyałów, żeby osiągnąć dochód, lecz tylko produkuje, żeby konsumować, osiąga dochód, żeby go spożyć. „Cokolwiekbądź przecież — rozumuje Rodbertus—i kapitał i dochód są tylko produktami pracy, szukając zaś probierza, dokładniej określającego naturę każdego z nich, zgodzić się należy na wywód następujący: Kapitał, materyały i narzędzia, to produkt, który służy do dalszej produkcyi, dochód— to produkt, który służy do zaspakajania potrzeb bezpośrednich. Kapitał jest pracą uprzednią, za którą inna jeszcze iść musi, dochód jest pracą skończoną, po której następuje spożycie. Dochód jest kresem drogi, jaką ma przebyć praca, kapitał — dopiero przebytą częścią tej drogi.“

W dalszym ciągu autor krytykuje opinię tych ekonomistów, którzy istotę kapitału upatrują w podniesieniu produkcyjności. Pojęcie produkcyjności wyraża, podług niego, stosunek kosztów (pracy) produktu danego do jego użyteczności. Im większym jest produkt co do ilości i jakości w stosunku do pracy, jaką kosztował, tem większą jest produkcyjność pracy samej. Produkcyjność przeto podnosi się tylko w ten sposób, że natura pracy ludzkiej z coraz większą przychodzi pomocą, czyli, że człowiek w pewnej części pozwala naturze pracować za siebie. Jeżeli dwu ludzi z równem natężeniem i w jednakowym czasie zrywa owoce, jeden z drzewa bardzo płodnego, drugi z mniej obficie uposażonego, produkt osiągnięty przez pierwszego z nich będzie większy. Praca jego jest produkcyjniejszą, bo mu w jego drzewie natura z większą przybyła pomocą, niż jego towarzyszowi. Natura wszelako rzadko tak pomaga człowiekowi. Zwykle, chcąc pracować produkcyjniej, musi on ujarzmić sobie i podwładnemi uczynić jej siły, do czego dochodzi drogą pracy pośredniej, wytwarzając narzędzia coraz doskonalsze, bez względu, czy tem mianem obejmujemy rowy w polu, czy maszyny parowe, czy wreszcie nowe jakieś odczynniki chemiczne. Najpewniej też z przyczyny, że wzrost produkcyjności w zasadzie wiąże się z narzędziami, że narzędzia takie, jako praca uprzednia, jako produkt do dalszej służący produkcyi — w pewnej mierze także są kapitałem — powstało błędne mniemanie, wskutek którego istotę narzędzia wzięto za istotę kapitału. Nie kapitałowi jednak przypisywać należy wzrost produkcyjności, ale jedynie pracy. Ta część kapitału, z którą głównie łączy się postęp produkcyjności, narzędzia, może nawet zmniejszeniu, podczas gdy produkcyjność wzrasta, a znów ta jego część, która przy wzrastającej produkcyjności bezwarunkowo się powiększa, materyał, nie może być uważaną za przyczynę tego wzrostu, lecz jest raczej jego rezultatem.

Kapitał powstaje i pomnaża się nie wskutek oszczędności i nagromadzenia, jak to powtarzali ekonomiści jeden za drugim od czasów Adama Smitha — ale wyłącznie wskutek podniesienia produkcyjności pracy. W najściślejszym również z tą produkcyjnością związku zostaje, według Rodbertusa, reprodukcya kapitału, która odbywa się także nie zapomocą oszczędzania, ale przez powtarzanie pracy dla odnawiania zużytego kapitału.

Co do stosunku pomiędzy kapitałem a dochodem, Rodbertus prostuje teoryę ekonomistów, utrzymujących, jakoby pierwszy miał być źródłem drugiego. „Kapitał i dochód — mówi — zostają do siebie w stosunku kolejnego następstwa. Podczas gdy jednostka ekonomiczna, o ile możności produkcyjnie i ciągle pracuje, żeby jaknajwiększy osiągnąć dochód, musi ona pracę swoją rozpocząć od wytworzenia narzędzi i materyałów i kontynuować tę pracę przez obrobienie materyałów za pomocą narzędzi, aż w końcu dojdzie do dochodu zamierzonego. Materyały zużywają się całkowicie na przedmioty wytwarzane, narzędzia w części tylko. Bez ustanku wszelako sam kapitał zamienia się na dochód i jest tylko początkiem tego ostatniego. Oba, zarówno kapitał, jak i dochód, są wyłącznie produktem pracy, która, gdy chce osiągnąć dochód, *musi* wprzód przygotować kapitał, w istocie bowiem kapitał nie jest niczem innem, jak pierwszym okresem dochodu samego. Słowem, większa produk-

---

1)

KARDYNAŁ

przez

Zofię Junghans.

Pewnego wiosennego wieczoru człowiek jakiś szybkim krokiem szedł wąską i ciemną uliczką, w samym środku Florencyi i zbliżał się ku jedynym, niskim drzwiczkom, które na nią wychodziły, gdyż całą jej przestrzeń zajmowały tylne strony wspaniałego pałacu Riario, którego front wychodzi na Ricasoli. Wszystkie ulice starej Florencyi są wąskie, lecz ruchliwe i pełne życia; ta jednak, będąca raczej szczupłem przejściem między zabudowaniami owego pałacu Braci św. Krzyża, mało była uczęszczaną i o tej już godzinie, gdy zadzwoniono na Anioł Pański —panowała tam cisza i pustka zupełna.

Człowiek, który przed otwarciem drzwi obejrzał się kilkakrotnie do koła, nie potrzebował się obawiać, ażeby go tu dostrzeżono. Wszedł nareszcie, zamknął drzwi za sobą i szybko wstępować zaczął na schody, potem wąskim korytarzem, następnie przez różne zakręty i przejścia, stopnie i galerye, które musiały być mu dobrze znane, drogą bez końca, dotarł znowu do ciemnych i małych drzwiczek, które otworzył przyniesionym z sobą kluczem. Wtedy znalazł się w bogatym gmachu. Zsunął płaszcz z ramion i rzucił się na najbliższe krzesło, o poręczy wspaniałą rzeźbą ozdobnej, jak by miał zupełne do tego prawo. Był to właściciel pałacu i jeden z najznakomitszych mężów włoskich, kardynał Riario. Na odgłos lekkich jego kroków ukazał się natychmiast na progu służący i przybliżył z uszanowaniem.

— No, cóż tam nowego, stary? — spytał pan krótko, z uśmiechem.

— Ser Tommaso czeka w przedpokoju, ten młody — bronzownik, czy jak go tam— którego wasza eminencya przywołać rozkazał.

— Bronzownik, czy jak go tam? Ach ty kapuściana głowo! To artysta, wielo obiecujący, a jeśli spełni to, czego się po nim spodziewam, w ciągu roku zarobi u mnie więcej niż ty podczas dwudziestoletniej służby nakradłeś.

Piero przyzwyczajony do takiej mowy, zmarszczył tylko chwilowo czoło na żart swego pana i czekał w milczeniu.

— No czegoż stoisz? wprowadź go.

— Wasza eminencya raczy wprzód...

Piero wymownem spojrzeniem wskazał na ubranie swego pana.

Riario zerwał się z uśmiechem.

— Zamienić się znowu na kardynała! Zapomniałem!

Miał na sobie ciemny, skromny z umysłu, ubiór rycerski, który przy pomocy Piera zmienił na długi strój z fioletowego jedwabiu, krzyż i purpurową przepaskę, domowe ubranie wyższego dostojnika kościoła. Po chwili Tommaso Lupi, rzeźbiarz i rytownik, pełnym uszanowania ukłonem powitał prałata, a w zamian otrzymał uprzejme skinienie. Potem jednak młodzian podniósł w górę dumną głowę i obaj zmierzyli się badawczem, ukradkowem spojrzeniem.

Musieli niemało słyszeć o sobie nawzajem, skąd też ich spotkanie zupełnie obojętnem nie było.

W osobie kardynała rzeźbiarz widział sławnego człowieka. Imię Tommasa Lupi nie było dotąd jeszcze głośnem, za to kardynał Riario był nadto dobrze znanym. Mieszkał on najczęściej w Rzymie, chociaż pałac jego dziedziczny znajdował się we Florencyi, to też nic dziwnego, że Maso, prawdziwe dziecko Florencyi, widział go oko w oko po raz pierwszy w życiu.

cyjność pracy jedynie jest owem źródłem, z którego wytryskuje dochód większy, a nie jakiś pierwiastek drugi, jako czynnik szczególny, od pracy różny, kapitałem zwany i z tą pracą łączący się.“

Pomieszanie kapitału prywatnego, po prostu posiadania majątku, związanego z pewną formą istnienia społecznego. lecz bynajmniej niekoniecznego — pomieszanie tego kapitału z kapitałem samym w sobie, narodowym, mającym znaczenie bezwzględne, czerpane z natury i postępu produkcyi — do najzawilszych w ekonomice doprowadziło nieporozumień. Własność ziemi i kapitału (kapitał prywatny) nietylko ziemię, ale całą od początku do końca produkcyę narodową nieprzebytemi otoczyła rogatkami i od producentów dotkliwy pobiera haracz. Haracz ten ceny produktu nie podwyższa, ale obniża cenę pracy.

„W ekonomii politycznej — powiada Rodbertus—żadnego wyobrażenia bardziej wystrzegać się nie należy, jak tego, że własność ziemi i kapitału — rozumie się w ogólności — ma za następstwo zdrożenie produktów. Wcale nie. Odbiera się po prostu robotnikom część wartości przez nich wyprodukowanej; konsumentom zaś czuć się tego nie daje. Społeczeństwo tylko zaboru tego sobie nie uświadamia, ponieważ od wielu tysięcy lat tkwi ono w mniemaniu, że produkt pracy jest naturalną własnością posiadaczy ziemi i kapitału. Oto jest powód, dla którego powszechnie sądzimy, że posiadacze ziemi i kapitału, udzielając płacę robotnikom, w tej formie wynagradzają ich pracę, zamiast mieć przekonanie, że wraz z płacą tą pozbawiają ich najnietykalniejszej części własności.

Przebiegając w myśli całytu w najgrubszych zarysach przedstawiony system Rodbertusa — pomimo całej genialności i bystrości w jego obserwacyach — wyrazić musimy wątpliwość, czy on kiedykolwiek w rzeczywistości da się przeprowadzić. Nie dlatego, żeby miał być bez wartości, ale, że przypuszcza idealny stan społeczny, który dopóki ludzie będą ludźmi, istotami słabemi i ułomnemi, do dziedziny marzeń należeć nie przestanie.

Najwięcej cech praktycznych ma myśl dopuszczania robotników do udziału w zyskach przedsiębiorstwa, do której Rodbertus po kilkakroć w ciągu pracy swojej wraca z zapałem i utęsknieniem i nad którą warto, zaiste, żeby bliżej zastanowili się wszyscy pracodawcy.

Dla dania czytelnikowi pojęcia, jak dalece w Niemczech zajmują się obecnie osobistością i teoryami „mędrca z Jagetzow,“ niezbytecznem będzie tu w końcu nadmienić, że wytworzyła się tam w ostatnich czasach cała literatura, dotycząca kwestyj rozbieranych przez Rodbertusa i odnośnych jego zapatrywań — oraz, że na początku roku bieżącego tylko trzy tej treści pojawiły się książki. Pod względem chronologicznym najpierwszą z nich i najcharakterystyczniejszą zarazem jest obszerna rozprawa M. Wirtha p. t. *Bismark, Wagner i Rodbertus*, trzej mistrze niemieccy, myśli o ich działalności i przyszłości ich prac. (Lipsk), w której autor surowo karci żelaznego kanclerza, za to, że się nie stał uczniem Rodbertusa. Muszą wysokie mieć wyobrażenie Niemcy o tym, którego nie wahają się porównywać i pod pewnymi względami stawiać wyżej, niż „bohatera z Warzina“ i twórcę muzyki przyszłości! Drugą książkę o Rodbertusie wydał dr. Juliusz Zuns p. t. *Einiges über Rodbertus* (Berlin), trzecią dr. Georg Adler z napisem: *Rodbertus, als Begründer des wissenschaftlichen Socialismus* (Lipsk).

A. J. Cohn.

Jan de Witt.

Ukazała się praca, która w literaturze historycznej zajmie, a raczej już zajęła miejsce poczesne. Autora, pana Antonina Lefevre Pontalis, wynagrodziła Akademia francuska, tem śmielej przeto zalecać mogę dzieło, którego tytuł jest następujący: „Lat dwadzieścia rzeczpospolitej parlamentarnej w wieku siedemnastym. *Jan de Witt*, wielki pensyonarz Holandyi“ (*Vingt années de republ. parl. au XVIIsiècle. Jean de Witt, gr. pens. hol.*, 1884 w dwóch tomach). Dzieło to w chwili obecnej nabiera znaczenia szczególnego, gdyż dla Holandyi nadeszła chwila rozwodu z wplecionym w jej losy domem Orańskim. Dom ten dziś już wygasł w ostatniej swej odrośli, następcy tronu króla panującego. Król stary żywota dokona bez pozostawienia potomka płci męskiej. Holandya przeto, pozostawiona samej sobie, co dla niej nie jest rzeczą ani nową, ani kłopotliwą, gdyby nie to, że przylega ona do państwa, któremu potrzebną jest dla zaokrąglenia nietyle terytoryalnego, co mocarstwowego. Dla Niemiec, zapatrując się na rzecz z punktu tej polityki, którą one stale praktykują, Holandya jest niezbędna. Bez niej one obejść się nie mogą. Wszystko, czego im brak, ona posiada: morza i kolonie, ujścia Renu i oskrzydlające Francyę położenie, z którego ona zrobić nie może użytku najmniejszego, a które Niemcom tak by się przydało dla zapewnienia światu dobrodziejstwa... pokoju. Nastręcza się sposobność zabrania jej pod pozorem jakimkolwiek. Byłoby ubliżającem dla nadwornej kancelaryi berlińskiej przypuszczenie, że pozoru nie wynajdzie. Znajdujemy się przeto w przededniu fabrykacyi płaszczyka, mającego okryć wcielenie Holandyi do wielkiej ojczyzny, zabierającej wszystko, co jej przydatnem być może, ze względem i bez względu na to, czy gdzie *klingt* czy nie *klingt* język niemiecki. Praca więc p. A. Lefevre Pontalis w porę przychodzi. Wykazuje ona wartość przeciętną tego kąska łakomego, który się stać może jutro, pojutrze kością niezgody w Europie zachodniej, jeżeli państwa interesowane nie zechcą się na wcielenie ojczyzny Erazma, Grotiusa, Spinozy, de Witta i in. do ojczyzny ks. Bismarka zgodzić.

Dzieje przedstawiają nam trzy maleńkie państewka, które niepodległość sobie zapewniły za pomocą uporczywej a długiej z mocarstwami wielkiemi walki orężnej. Jednem z państewek tego rodzaju jest Grecya starożytna, broniąca się przeciwko persom, drugiem — Szwajcarya w zapasach z pretensyami arcyksiążąt austryackich i burgundzkich, trzeciem — Holandya, która w kilku następujących po sobie pokoleniach oręża nie składała, wybijając się z pod władzy Hiszpanii. Dziwna pomiędzy trzema tymi faktami historycznymi zachodzi analogia, opierająca się na podobieństwie podniet, sposobów i sfer, w których podniety działały i z których sposoby wychodziły. I rezultaty mniej więcej były podobne.

W chwili zawiązania się walki Holandya była to prowincya mała, nawpół zalana przez wody morskie, okryta w części jednej piaskami, w drugiej trzęsawiskami. „Człowiek—powiada nasz autor—nie urodził się tam z ziemi, ale przeciwnie ziemia urodziła się z człowieka.“ Gruntu uprawnego nie było więcej, jak 100,000 akrów, ludność dochodziła zaledwie 1,240,000 głów i z uprawy roli nie otrzymywała więcej, jak dwa funty chleba na człowieka. Taką była podstawa bogactwa krajowego—jak widzimy, nie świetna. Czego nie dostarczała rola, to dawał przemysł. Krajem przeważnie rządzili kupcy i rzemieślnicy i oni to przez lat ośmdziesiąt podtrzymywali walkę przeciwko najpotężniejszemu w czasie owym i wysoce rycerskiemu mocarstwu. Autor kreśli jej obraz w zarysach ogólnych, uwy-

---

Kardynał Riario był dziś człowiekiem nie pierwszej młodości, liczył około pięćdziesięciu lat. Lecz wysoką godność kościelną piastował już oddawna, otrzymał ją bardzo młodo, wprawdzie nie jak Giovanne de Medici, który przed sześćdziesięciu laty—jako czternasto-letni chłopak — mianowany został kardynałem. Odzywano się o nim, że kilkakrotnie od jego tylko woli zależało zasiąść na stolicy Piotra. Lecz prawdopodobnie nazbyt cenił osobistą swobodę, aby mógł pragnąć zostać „sługą sług bożych.“ Jednym z grzechów Fco Riaria była niezmierna pycha.

Powierzchowność jego odpowiadała zupełnie wysokiej godności, jaką piastował; mogła też zwiększyć wrażenie, którego doznał nowoprzybyły. Po pierwszych słowach, wymówionych do niego przez kardynała, Tommaso z na pół mimowolnym zachwytem objął spojrzeniem kształtną, pięknie zbudowaną postać, pełne wyrazu rysy twarzy prałata, wdzięczny zarys ust i ogniste spojrzenie rozumnych oczu. Sam nie wiedząc o tem, pokonanym został.

Kardynał również przypatrywał się ze zdumieniem niepospolitej osobistości, którą miał przed sobą.

— Jak się to stać mogło, Tommaso, żem was dotąd nie spotkał na ulicach Florencyi? — zapytał, dodając przy tem uprzejmie: Wierzcie mi, że takiego, jak wy, człowieka nie przeoczyłbym, znajdując się nawet pod baldachinem, przy boku króla Francyi.

Tommaso odrzekł, że wiele czasu spędzał w pracowni, a w porze, gdy bywały wielkie zbiegowiska ludowe — co się w owych czasach często zdarzało — nie mógł odejść od roboty.

Riario uśmiechnął się z dobrocią.

— Prawda, że macie coś lepszego do czynienia, niż stać w tłumie próżnującej gawiedzi, i patrzeć na nas, ciągnących w szeregu, podczas długich i nudnych ceremonij, które się podobają dziecinnemu ludowi. Że jednak patrzeć umiecie, i dobrze, dowodzą tego wspaniałe wasze postacie. Mistrzu Tomaso, świecznik któryście wykonali do sali balowej Palla Strozzi, jest zachwycający. Nie zdarzyło mi się dotąd widzieć w Rzymie ani we Francyi dzieła żyjącego artysty, któreby świadczyło o tak głębokich studyach starożytnych mistrzów, a także przyrody, tej wiecznej mistrzyni. A jak wam się wybornie udało odlewanie! Musicie mi pokazać model tego dzieła! Macie go zapewne?

Tommaso potwierdził skinieniem głowy.

— Skoro ujrzałem to dzieło, postanowiłem sobie, że mi będziecie przyjacielem — mówił dalej kardynał. Widzicie, jestem interesowanym; chciałbym przywiązać do siebie młodość tak wiele obiecującą, zespolić się z nią dlatego, aby się nie zestarzeć w moim wieku.

I z czarodziejskim uśmiechem piękny książę kościoła, w którego ustach wzmianka o „starości“ zdawała się jeszcze przedwczesną, podał rękę młodzieńcowi.

Jakżeby Tommaso zdołał się oprzeć tak uprzejmemu i szczeremu przyjęciu? Artysta był człowiekiem niezwykle silnej budowy ciała; ludzie wysokiego wzrostu sięgali mu zaledwie do ramienia; a jak się to najczęściej zdarza, z tymi, których natura obdarzyła nadzwyczajną siłą fizyczną, mówił otwarcie i wesoło. Dumny ze swego talentu, nie krył się z tem bynajmniej. I dobrze mu było z tą dumą; niepodobna było, widząc tę smagłą, energiczną twarz, o zgrabnych rysach, wyniosłe czoło, przenikliwe spojrzenie młodego artysty, nie uczuć ku niemu życzliwości i sympatycznego pociągu. Na tej twarzy natura wycisnęła wyraźne piętno, jakiem znaczy wybranych swoich.

— Wasza eminencya chwali odlew kandelabra — rzekł — to mi dowodzi, że słu-

datniając na tle jej postacie stadhouderów, książąt Oranii, których stanowisko hetmaństwa dziedzicznego niewyraźnie, co do atrybucyj, określone, sprowadzić musiało, po uznaniu traktatem westfalskim niepodległości Rzeczpospolitej niderlandzkiej, nieporozumienia pomiędzy nimi a stanami. Nieporozumienia znalazły wyraz swój w zajściu pomiędzy Wilhelmem II a miastem Amsterdamem. Stadhouder młody, ambitny, z wymawiającą mu jego oficerstwo republikańskie królewną angielską ożeniony, powziął zamiar opanować Amsterdam a mieszczan skarcić i upokorzyć; miasto się oparło. Z zajścia tego wynikło naprężenie stosunków. Kiedy Wilhelm II świadczył się własnemi i przodków swoich zasługami wojennemi, mieszczanie odpowiadali, że zasługi te opłacili i że za pieniądze znaleźliby zawsze wodzów walecznych. Wilhelm II miał faworytę, komedyantkę francuską, pannę Labarre; mieszczanie wymawiali mu ten związek, a on niewiasty amsterdamskie porównywał do dragonów i twierdził, że zdolniejsze są do brania jeńców wojennych, aniżeli podbijania serc. Odgadnąć trudno, do jakich następstw doprowadziłyby te waśnie, gdyby nie przedwczesna stadhoudera śmierć, po której we dwa miesiące urodził się mu syn. Pozostałe po nim matka i żona pokłóciły się i zaczęły ciągać się po sądach. Prowincye jedna po drugiej stadhouderat u siebie znosiły i wyzwoliły się od niego na cały przeciąg małoletności syna Wilhelmo II, późniejszego króla angielskiego.

Na tę republiki szczerej epokę przypada olbrzymi rozrost Niderlandów. Od razu stają one, jako mocarstwo pierwszorzędne, bogate, potężne, przytulisko sztuk, nauk i swobody. Znaną jest szkoła malarska, holenderską zwana; znanemi są nazwiska mężów uczonych, których kraik ten wydał, lub opieką swoją osłonił; mniej się mówi o tem, że istniała tam tolerancya religijna, niedopuszczająca prześladowań za wiarę; ale mało kto zapewne wie, że wolność druku jest wynalazkiem holenderskim. Nie przeszkadzało to rozwojowi przemysłu i handlu. Przeciwnie. Marynarka holenderska liczyła 10,000 żagli, 168,000 majtków i dostarczała zarobku 260,000 ludzi. W obyczajach panowały czystość i skromność. Wychowanie traktowano poważnie. Autor przytacza list ojca (Hieronima de Beverningh) do syna, wybierającego się ze szkoły łacińskiej do uniwersytetu leydeńskiego: „Bądź przekonany, że studya wysokie nie czynią uczonymi tych, którzy poprzednio twardo nie pracowali a którzy, chodzić się nie nauczywszy, biegać chcą. Nie potrzeba, ażebyś był z tych, o których profesorowie powiadają: *Acipiannes pecuniam et admittamen asinem.*" I dziś z ojców niejeden mógłby do syna pisać list podobny.

Na tak to uprawnej glebie urodził się i wyrósł Jan de Witt; syn najmłodszy Jakóba i Anny Van de Corput. Przyszedł na świat w Dordrecht r. 1625. Miał dwie siostry starsze i brata, Korneliusza, liczącego wieku dwa lata więcej, aniżeli on. Rodzina jego od jedenastu pokoleń zamieszkiwała na jednem i temże samem miejscu, a od dziewięciu pełniła służbę publiczną. Ojciec był burmistrzem oraz kuratorem szkół dordrechtskich. Miasto słynęło żywym naukowo-literackim ruchem, ogniskującym się w domu rodziców Jana, w którym zgromadzali się często pastorowie, profesorowie, uczeni, pisarze i mężowie stanu. W towarzystwie takiem od dzieciństwa synowie burmistrza osłuchiwali się i oswajali ze sprawami publicznemi. Szkoły łacińskie przeszli w mieście rodzinnem: do uniwersytetu udali się do Leydy i wstąpili obaj na wydział prawny, który w lat cztery ukończyli. W regiestrach uniwersyteckich nie ma śladu, ażeby otrzymali stopnie naukowe, Jan wszakże był doktorem, dostał bowiem później urząd, którego by otrzymać nie mógł, gdyby stopnia tego nie posiadał i nie umiał po łacinie i po francusku. Po ukończeniu nauk młodzi de Witt podróżowali, zwiedzili Francyę i Anglię, zabierali znajomości z osobistościami wydatnemi, w Londynie przedstawiali się na dworze królewskim. Jan de Witt, ku niemałemu zgorszeniu pastorów, uczył się tańczyć, śpiewać i grać na skrzypcach; posiadał gry towarzyskie: triktrak, szachy i karty; wyuczył się nawet kilku sztuk kuglarskich, które pokazywał ze zręcznością wielką; słowem, był to człowiek dobrego towarzystwa, przekonaniami swojemi filozoficznemi skłaniający się ku kartezianizmowi i uprawiający z zamiłowaniem szczególnem matematykę. Za młodu sił swoich w literaturze probował. Pisywał wiersze do *Bazaru dordrechtskiego*, czyli *Arki Noego*, pisma zbiorowego, które w Dordrecht wychodziło i przetłomaczył wystawioną w teatrze amsterdamskim tragedyę Corneille'a *Horacyusze.* Na polu tem atoli nie wiodło się mu — stylu nie posiadał: wiersz jego jest ciężki i nadęty, proza bez wdzięku. Dla uzupełnienia charakterystyki człowieka dodać jeszcze potrzeba, że był to elegant, uwagę szczególną zwracający na bieliznę, odzież i obówie.

Po powrocie z podróży młodzi de Witt, złożywszy przysięgę jako adwokaci, rozstali się: starszy pozostał w mieście rodzinnem, młodszy w Hadze dependować zaczął i zwrócił na siebie uwagę publiczną wymową, jaką okazał w obronie przed kratkami spraw kilku. Do życia publicznego powołał go chybiony zamach Wilhelma II; stadhouder ojca jego, wraz z kilku innymi burmistrzami, uwięzić kazał. Po śmierci Wilhelma burmistrzów do godności przywrócono i wtedy Jan de Witt zamianowany został pensyonarzem w Dordrecht. Pensyonarze byli to zrazu obrońcy i doradcy prawni, tak nazwani dlatego, że w zgromadzeniach miejskich, prowincyonalnych i ogólnych oni jedni pensyę pobierali. Stanowisko ich następnie wzmacniało się stopniowo: z obrońców i doradców stali się zastępcami, z zastępców prezydentami. Jan de Witt, skromny w początku pensyonarz dordrechtski, został wielkim pensyonarzem rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych Niderlandzkich i, jako taki, stał się postacią historyczną, uwydatnioną na tle dziejów powszechnych, jako wielki talent i wielki charakter.

P. A. Lefevre Pontalis zaznajamia z nim publiczność czytającą. Praca jego jest dziełem, napisanem znakomicie, jest zarazem uczynkiem dobrym, o którym autor wie, we wstępie bowiem cytuje odpowiedź, jaką Amiot dał kardynałowi de Tournon, gdy ten go pytał, na co on wskrzesza bohaterów Plutarcha. „Na to — odrzekł — że pora teraz ze zmarłymi się wdawać." Jan de Witt życiem i śmiercią swoją tragiczną należy do bohaterów Plutarcha.

T. T. Jeż.

HENRYK SIENKIEWICZ
(LITWOS).

I.

Śród bogatego roju młodzieży, dojrzewającej w ulu Szkoły Głównej, wcześnie wyróżniały się rozmaite gatunki pszczół: widziałeś leniwe trutnie, widziałeś pracownice, widziałeś matki, które kiedyś królować miały. Rozwój umysłowy biegł szybko — zdolności też zarysowywały się wyraźnie. Prawie każda wydatniejsza tam głowa nie zniżyła się później pod średnią miarę. Z ostatniego trzechlecia Szkoły: Chmielowski, Głowacki (Prus), Ochorowicz, Rajchman, Kotarbiński i inni, którzy w niej przerastali towarzyszów, albo nie zawiedli wróżb

---

sznie mówią ci, którzy utrzymują, iż wasza eminencya lepsze masz pojęcie o sztuce, niż którykolwiek bądź ze znakomitych panów florenckich. Musiałeś wasza książęca mość spostrzedz zapewnie, że figury dzieci, czepiających się rękami gałęzi drzewa palmowego, służącego za osnowę kandelabra, odlane są z jednej całej sztuki. Otóż zapewniam waszą eminencyę, że nad temi figurkami, mającemi zaledwie wysokość dwóch dłoni, cały rok sobie głowę łamać musiałem.

— A to dlaczego? — spytał kardynał.

Artysta zaczął tłomaczyć jak trudno było wszystkie części formy napełnić rozpuszczonym metalem, jak w razie, gdyby nie były dokładnie obliczone pewne prawa natury i w odpowiedniej mierze wpuszczone powietrze, mogłaby się masa metalowa nie dostać tam, dokąd ją było potrzeba doprowadzić.

— Kiedy odjąłem formę i ujrzałem moje dzieciaki wykończone, do ostatniego pukielka włosów na głowach, ukazujące mi się w wybornym odlewie, nie było w całej Florencyi szczęśliwszego nademnie człowieka; dziękowałem też z głębi duszy Najświętszej Pannie i memu łaskawemu patronowi, że mi dopomogli w dokonaniu trudnego dzieła i uchronili od wstydu.

— A oni oboje znają się pewnie tak dobrze na odlewaniu z bronzu, że wam zawsze z równie skuteczną spieszą pomocą— zauważył Riario z lekkomyślnością, która w owych czasach była niejako prawem przynależnem jego stanowi. Tak szczerze miłujecie waszą sztukę i znacie się na niej tak dobrze, iż spodziewam się stąd wielkiej dla siebie, a i dla was nie mniejszej korzyści. Spojrzcie no!

Z temi słowy kardynał zbliżył się do szafy, otworzył ją i wyjął miedziane naczynie, które postawił na stole przed artystą. Oczy Tommasa zabłysły.

— Cóż na to powiecie? — spytał Riario po chwili.

— Żem chyba jeszcze — po namyśle odrzekł rzeźbiarz — nic piękniejszego nie widział w życiu.

— Wierzę temu. Mało jest na ziemi arcydzieł, które by się z tą robotą porównać dały. Naczynie to znaleziono niedawno w Rzymie, jest ono bardzo starożytne. Według zdania uczonych znawców, służyło podczas uroczystości Bachusowych, do przyrządzania ciast ofiarnych. Przypatrzcie się tej linii u kantu górnego, a temu wieńcowi! do

— Jest to robota ryta — rzekł Tommaso po namyśle.

Kardynał spojrzał nań z żywością.

— Tak wam się zdaje?

— Pewien tego jestem, czcigodny panie. Każdy listek tego wieńca jest wykuty młotem.

— Mało dziś podobna robota jest w użyciu; nieprawdaż? — spytał Kardynał.

Tommaso nie spieszył z odpowiedzią, zdawał się zajęty cały podziwianiem pysznego starożytnego dzieła.

— Cudowne, cudowne... — szeptał. Gotów jestem iść o zakład — rzekł z uśmiechem, że wasza eminencya nie pozna, w jakiem miejscu spojone są obie połowy. Zlutowanie jest tak doskonałe.

— Jak to, całość nie z jednej wyrobiona sztuki? A wy się na tem tak doskonale znacie, mistrzu Tommaso? Może byście nawet potrafili w swoim warsztacie wykonać coś podobnego?

Tommaso namyślał się przez chwilę, potem wyprostował się dumnie i spojrzał prosto kardynałowi w oczy. Riario przyglądał mu się z delikatnym, subtelnym uśmiechem.

Artysta przybliżał się ku niemu bez tej uniżoności, jaką zazwyczaj okazywali inni wobec jego osoby i stanu, ale kardynał zbyt rozumnym był człowiekiem, żeby nie

dobrych, albo je nawet przekroczyli daleko.

Był wszakże w szczupłem gronie wydziału historyczno-filologicznego student, który niczem nie zapowiadał wysokiego talentu i żył zupełnie po za tem wyborowem kołem. Pamiętam tylko, że idąc raz z nim przez ulicę, zdumiałem się nad jego biegłością w rozpoznawaniu herbów na arystokratycznych gmachach i karetach oraz nad znacznym zasobem wiedzy z historyi rodzin szlacheckich. Była to wszakże jedyna niezwykła w nim cecha. Wątły, chorowity, w audytoryum rzadko widzialny, w życiu studenckiem nieprzyjmujący żadnego udziału, przed egzaminami mocno zakłopotany i na uboczu trzymający się, zwracał na siebie tak słabą uwagę kolegów, że gdy po skończeniu uniwersytetu Kotarbiński upewniał nas kilku, iż Sienkiewicz napisał piękną powieść *Na marne*, roześmieliśmy się serdecznie i zapisali tę wiadomość na rachunek złudzeń powiatowej sympatyi jednego podlasiaka dla drugiego. A przecież w owym niepozornym, rzec można, niedostrzegalnym młodzieńcu objawiła się wtedy istotna zdolność powieściopisarska.

Sienkiewicz nie należy do tych mocarzów literatury, których życie krytyk winien opisać a naród wysłuchać, poczynając od kolebki. Nie będziemy więc tu wyskubywali fantazyjnych nici z jego autobiografii, którą utkał w *Starym słudze* i *Hani*, otoczywszy swe lata dziecinne warunkami szlacheckiego „królewiątka.“ Niech ta osnowa pozostanie sobie jako utwór artystyczny — my zaś przypatrujmy się Sienkiewiczowi od chwili, gdy wziął do ręki pióro literackie.

Ciekawem jest zawsze: w jakich sprawach młody talent chce pierwszy swój głos zabrać i jakie są pierwsze na jego wyobraźni odbicia? Pod datą 1872 r. Sienkiewicz, oprócz wspomnianej powieści (drukowanej w *Wieńcu*), wydał dwie: *Humoreski z teki Worszyłły*. Utwory te, artystyczną wartością nierówne, mają wiele zasadniczych rysów wspólnych i bardzo znamiennych. Przedstawiają nam one całego niemal przyszłego autora cenionych nowel i świętego w litanii stańczyków. *Na marne* zdradza taką pewność ręki, taką wprawę pisarską, że niepodobna dostrzedz śladów debiutu. Do Kijowa na uniwersytet przyjeżdża młody Szwarc, „syn kowala.“ Tu spotyka przedewszystkiem starszego kolegę, Gustawa, zgorzkniałego, z utajonym bólem w piersi bursza, który kocha obłąkaną z rozpaczy wdowę po zmarłym towarzyszu — Helenę. Straciwszy męża, szuka ona go wszędzie, sądząc, że „wziąwszy na ręce rozpłakane dziecię, poszedł gdzieś, ale wróci.“ Z tą nadzieją przychodzi codzień do klubu studentów, dokąd Gustaw zaprowadził Szwarca i dokąd ona wkrótce przybyła. „Dziwne były jej oczy; koloru stali, świeciły jak stal polerowana, ale było to prawdziwe światło. Było to światło i nic więcej; podowym blaskiem brakło ciepła i głębokości myśli. Możnaby rzec o tych oczach, patrzą, ale nie widzą. Nic wytwarzały wyobrażenia przedmiotu, ale tylko odbijały go. Był w nich chłód nie do opisania; dodajmy, że powieki ich nie mrużyły się prawie nigdy, a źrenice posiadały jakoby pewien ruch, niby śledczy, badawczy, poszukujący a jednak mechaniczny.“ Słowem—piękna „waryatka,“ obojętna na wszystko, a więc, rozumie się, i na uczucia Gustawa. Spostrzegłszy jednak Szwarca i upatrując w nim podobieństwo do zmarłego męża, rzuca się nieszczęśliwa ku niemu z krzykiem i od tej chwili kocha go również „szaloną“ miłością, ale również od tej chwili przestaje być obłąkaną. Daremnie on unika jej, Helena sprowadza go do siebie przez Gustawa, który nie widząc ratunku dla swej miłości, usuwa się z drogi przyjacielowi—do grobu. Szwarc pokochał wkrótce uroczą wdowę, a przejmując spadek obowiązków koleżeńskich dla żony nieznanego kolegi, otaczał ją takąż samą opieką i postanowił poślubić. Ale na nieszczęście tego prostego związku serc, któremu nic nie przeszkadzało, bo nawet duch pierwszego męża, Szwarc zostaje wezwany w nocy przez piękną hrabiankę do ratowania konającego jej ojca, który umiera, zostawiając córkę w niedostatku. Energiczny student umieszcza ją u przybyłej do Kijowa pani Wizbergowej, która posiada „900,000 rs.“ i córkę, potrzebującą towarzyskiej oglądy a nęcącą jego przyjaciela Augustynowicza—wroga kobiet, niegdyś pijaka i moralnego brudasa, później uczciwego i przywiązanego towarzysza. Tu zaczyna się druga miłość bohatera a jednocześnie walka między dawnicj zaciągniętym obowiązkiem względem Heleny a nowem uczuciem dla Luli. Rezultatem tej walki jest tyfus, w którym Szwarc odsłania nieprzytomnie wdowie ranę swego serca, popychając ją tem wyznaniem do samobójstwa. Z owego tyfusu wychodzi tak zmieniony, że żadnej z obu uwielbianych kobiet nie kocha, jego zaś towarzysz Augustynowicz kończy bajkę morałem:

— „Nadto, nadto sił kładziemy w gonitwę za miłością kobiety — potem miłość gdzieś jak ptak odleci, a siły idą *na marne.*“

Jest to niby idea powieści, ale taki wniosek dałby się z równą słusznością przyczepić do tysiąca innych i w tej niema osobnego uzasadnienia. Natomiast podkreślić winniśmy kilka cech, które później odnajdziemy w innych utworach Sienkiewicza.

Przedewszystkiem niezmiernie sztuczną psychologię. Jedna „szalona“ miłość, spotęgowana rozpaczą, ustępuje miejsca drugiej „szalonej“ miłości, waryatka zmienia się w tem przejściu, odzyskuje zdrowie, niepoń zostaje bohaterem itd. Helena zapomina o mężu jak o znoszonym kapeluszu, Szwarc przeskakuje od niej do hrabianki bez powodu, tyfus ściera z jego serca najsilniejsze uczucia — słowem suma skutków bez przyczyn, Sienkiewicz już tu, jak wszędzie, jest wybornym *malarzem*, ale słabym *psychologiem*. Umie on, nieraz z wielkim talentem, nakreślić tło obrazu, rozmaite na niem postacie, ich znaki szczególne, stosunki, ale rzadko kiedy umie w rozwoju charakterów uwydatnić i ułańcuchować sprężyny i pobudki.

Powtóre *Na marne* stanowi zwykły jego światek ludzi ze świadectwami szczególnego hartu i mocy a z naturą czułostkową i miękką, która nadaje sobie pozory siły tylko chwilową energią ruchów i krótko ciętemi słowami. Nadto ludzie ci albo pozbawieni są zupełnie popędów egoistycznych, albo pozbywają się ich bardzo szybko. Nieponiowi z pierwszej karty — jak to zobaczymy później — nic nie przeszkadza zostać bohaterem na ostatniej. Wreszcie najradykalniejsi nie żyją bez mimowolnego bodaj szacunku dla szlachetnej „krwi“ i nie schodzą ze świata bez zgody z Bogiem*).

Całe to grono studenckie, chociaż czasem prawi nieco wolnomyślnie, wygląda tak, jakby ukradkiem chodziło do spowiedzi.

Potrzecie — i to jest punkt, na który zwracamy uwagę czytelnika — najwyższym, najgłębiej kochanym ideałem demokraty jest tu — hrabianka.

Takim jest człowiek Sienkiewicza—w uniwersytecie.

*) „Gustawie, czy ty wierzysz w nieśmiertelność?“ Chory już nic nie mógł mówić; kiwnął głową na znak potwierdzenia. Wtedy zdawało się, że w izbie rozległy się ciche tony czarownej muzyki. Po smugach księżycowego światła zsunął się z niebios rój aniołów; pełno ich było: jedne białe, drugie miały skrzydła złote lub kolorowe. Chodziły cicho, pochylały się nad łożem, trącały skrzydełkami, kręciły się jako pszczółki brzęczące. Słychać było szelest ich piór.“ *Na marne*, 411.

---

umiał zastosować się do obejścia mistrza, któremu przyznawał chętnie prawo do pewnej swobody i niezależności.

— Słusznie mówicie, dostojny panie — zaczął Tommaso, że obecnie mało się zajmują podobnemi robotami, a sztuka, która przy pomocy tak ograniczonych środków, równie zdumiewające, jak to, tworzyła arcydzieła, rzeczywiście zupełnie wyszła z użycia. Mnie się jednak udało pochwycić niektóre jej tajemnice, pragnąłem też oddawna dokonać próby. Zrobię waszej eminencyi naczynie takiej samej wielkości, tylko bogaciej i piękniej ozdobione.

Oczy kardynała zabłysły radością.

— Otóż tego właśnie spodziewałem się po was! — zawołał. Skoro w Rzymie, zebrani raz u mnie na wieczerzy goście, podziwiali to naczynie, żałowano powszechnie, że obecnie takiej roboty nikt wykonać nie potrafi. Podjąłem się dowieść, że mamy we Florencyi mistrza, który nietylko rzecz taką, lecz i piękniejszą jeszcze zrobić zdoła, i zapewniłem, że imię jego głośnem się stanie. Wy jesteście tym artystą, mistrzu Tommaso.“

— Zaszczyt mi przynosi zaufanie wasze, dostojny panie, a spodziewam się, przy pomocy świętych moich patronów nie zrobić wam zawodu. O! — zawołał, podnosząc w górę głowę i oddychając szeroką piersią — mam zamiar niejednego jeszcze dokonać dzieła.

Riario z uśmiechem spoglądał na olbrzymią postać młodego artysty, wyrwało mu się przytem żartobliwe słówko, które w owych czasach, różniących się poglądami od naszego, nie było niewłaściwem nawet w ustach księcia kościoła. Potem obaj mówili o pracy, jaką artysta przedsiębrał dla kardynała: miało to być naczynie, służące do ozdoby najwspanialszego biesiadnieczego stołu, nie z miedzi, lecz ze srebra wykonane i najkosztowniej ozdobione. Tommaso przyrzekł niezwłocznie przygotować model, lecz poprzednio pokazać kardynałowi rysunek, wyrażający jego pomysł.

— Nie będziecie zatem początkowo żadnych wielkich potrzebowali nakładów?— zapytał Riario.

— Żadnych, prócz arkusza papieru i paru garści gliny, czcigodny panie — odrzekł Tommaso krótko, według zwyczaju.

— Każcie jednak, aby wam mój marszałek dworu wypłacił pięćdziesiąt dukatów. Zaraz!

Zbliżył się do stołu i nakreślił kilka słów na kawałku papieru. A gdy Tommaso się wahał:

— Dajcie pokój — rzekł, nie więcej was to zobowiązuje jak wasze przyrzeczenie. A jeśli — dodał z pociągającym uśmiechem — godzinę tylko poświęcicie na zrobienie dla mnie tego szkicu, który po waszej artystycznej głowie snuć się już musi, to uważajcie, żeście mi się już wypłacili za tę drobnostkę. Tymczasem bądźcie mi zdrowi, messer Tommaso — artysta miał prawo do tego tytułu, ponieważ pochodził z rycerskiej rodziny — zanim się nasze rozejdą drogi, wy mnie a ja wam wiele jeszcze dłużni będziemy.

Temi słowy zakończyło się pierwsze spotkanie Tommasa Lupi z kardynałem Feo Riario.

Nazajutrz, na godzinę przed Ave Maria, to jest przed zmierzchem, Tommaso wyszedł ze swej pracowni. Zwrócił ku Porta Santa Croce; o kilka kroków, nie dochodząc do niej, wszedł do ciemnej uliczki i zagłębił się w labirynt dziedzińców, przejść, galeryj, schodów przyczepionych do nędznych domków, które w malowniczym nieładzie tuliły się jedne przy drugich, wszystkie zaś razem stanowiły niegdyś część budowli, należących do wspaniałego pałacu, a po upadku znakomitego rodu, którego te ruiny były niegdyś dziedzictwem,

Zobaczmy go teraz po wyjściu ze szkoły. Wilk Garbowiecki, z rodziny wsławionej za Sasów, w którym „czasem grała dobra krew,“ po skończeniu uniwersytetu, kupił sobie folwarczek z zamiarem apostołowania nowych idej. Z rozpędem więc pionierskim założył w pobliskiem miasteczku—czytelnię, która ściągnęła nań niechęć szlachty, a gdy jeszcze napisał do gazety korespondencyę przeciw ospalstwu okolicy, sprzysiężeni obywatele uwikłali go w pojedynek, w którym zginął. Sens moralny: „nikt nie jest prorokiem w własnym kraju“ (tytuł pierwszej ułomnej artystycznie humoreski *Z teki Worszyłły*). I tu góra rodzi mysz — a nawzajem mysz rodzi górę. Reformator zdobywa się na czytelnię, a czytelnia staje się przyczyną jego śmierci. Wilk, jak Szwarc, mówi ostro i lakonicznie, ale działa słabo, i, jak Szwarc kocha się w pannie Lucy „z wyższego towarzystwa,“ którą uczy angielskiego języka i która odtrąca szyderczo jego rękę.

W drugiej humoresce, *Dwie drogi*, tenże typ demokraty przybiera na siebie postać inżeniera Iwaszkiewicza, który wzorowem urządzeniem fabryki, zatrudniającej samych krajowców, wypiera z arystokratycznego serca Fanny Bujnickiej kawalera wysokiej rangi społecznej, który znowu swój obdłużony majątek sprzedaje niemcom. Sam wreszcie Złotopolski, zobaczywszy fabrykę swego współzawodnika, odstępuje mu pannę upokorzony jego dzielnością. I w tym i w poprzednim utworze Sienkiewicz drwi z pozłacanej młodzieży, której obyczajów widocznie nie zna. Trudno bowiem przypuścić, ażeby bohaterowie tej sfery, ozdobieni często tytułami książęcymi, prowadzili takie rozmowy:

— „Kto wie, czy Pan Bóg nie dlatego dał Maszce (adwokatowi) głowę, ażeby nas nie utrudzać zbytnim ciężarem.

— Wiesz Jasiu, co ci powiem?

— Nie jestem jasnowidzącym, Misiu, zatem nie mogę odgadnąć.

— Że niemcy chyba *mniej jeszcze rozumu od nas* mają.

— Dobrze powiedziane, *mais pourquoi ça?*

— A bo dają nam gotówkę, a biorą ziemię.“

Inny znowu panicz magnetyzuje w salonie sukę, a wszyscy są zupełnie świadomi swojej głupoty.

Szczerość ich jest nieraz homeryczną:

— „Jak mi honor miły! (rzekł *książe*) Taka dobra Berlińska, jak i twoja Fanny, a może nawet lepsza, bo...

Ręka Złotopolskiego spoczęła na ramieniu księcia Antosia (zwykła poza bohaterów Sienkiewicza w przystępie energii).

— W twoim własnym interesie nie radzę ci robić takich porównań. Ty sobie możesz brać żydówkę, czy czarta.., wszystko mi jedno, ale wara mi mówić źle o Bujnickiej.“

I cóż ten *książe* odpowiedział?

— „Ale co tobie jest? Ależ bo ty wszystko seryo bierzesz. Ja nie miałem zamiaru.“

Niewinne pacholę.

W jednem miejscu autor, szydząc z księży powiada: „Chłopów ostrzegają przed Voltairem, masonami, Renanem, Darwinem, a nie-chłopom tłomaczą zarazem, dlaczego ciż chłopi twierdzą, że co innego jest: „wzion,“ a co innego „ukradł.“

Przeglądając te karykatury arystokracyi, oświetlone lekkim sarkazmem religijnym, oraz idealne postacie demokratów, zdawałoby się, że Sienkiewicz wszedł do literatury z proporcem czerwonym. Tak on sam mniema zapewne, skoro w zbiorze swych pism pominął wszystkie trzy wzmiankowane utwory. Rzeczywiście barwa jego w r. 1872 nie była barwą *Słowa* — wpływ młodości i jej stosunków na wrażliwym talencie odbić się musiał. Ale w całym jego pozornym demokratyzmie łatwo rozpoznać żyłki szlacheckie. To nie radykał, gardzący zatęchłą sferą i kładący na jej wrotach znak zagłady, ale uniesiony na chwilę postępowym ruchem młody szlachcic, który ośmiesza stare ołtarze, ale daje do zrozumienia, że chętnie by się przed nimi pomodlił, gdyby ich bogi nieco odrestaurowano. Wszyscy jego demokratyczni bohaterowie kochają się w pannach z „towarzystwa.“ Na swoim poziomie nie mogą znaleść ideałów. Bez żadnej potrzeby cisną się do wielkopańskiego świata, który ich nie ciągnie i bez którego obyć się mogą.

A zatem pierwszym widokiem, jaki się rzucił w oczy Sienkiewiczowi, był sojusz lub walka „krwi“ dobrej ze złą, pierwszą sprawą, która go do głosu pobudziła—proces o mur kastowy. Probował drwić z tego muru, ale wkrótce spostrzegł, że lepiej przystawić do niego drabinę. Zobaczymy, jak demokrata oblegający twierdzę bez gniewu, owszem z pewną tęsknotą, wkrótce znajduje się w jej załodze.

A. Ś.

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, d. 29 czerwca 1884.

Powodzie w Galicyi i spustoszenia. — Ratunek prywatny i publiczny. — Nasze rzeki i lasy. — Z publicystyki ruśińskiej: ks. Kaczała o szkołach ludowych w *Dile*. — Broszury „Obacznego“ o reorganizacyi duchowieństwa. — Epilog wydawnictwa *Prawda*.

Ubiegły tydzień żywo, chociaż w odmiennej nieco formie przypomniał nam najazdy tatarów na naszą krainę; olbrzymie spustoszenia, jakie wyrządziła powódź w 44 z pomiędzy 74 powiatów galicyjskich istotnie odświeżają w pamięci naszej owe pamiętne klęski, jakie ponosiła „Ruś Czerwona“ od hord Batu-hana i jego równie humanitarnych następców. Obecne wylewy w Galicyi dadzą się porównać chyba z pamiętnymi wylewami z lat 1844 i 1867, chociaż w niektórych okolicach były daleko straszniejsze. Wodoskazy znaczyły stan wody 3—4 metry po nad normalny, gdzieniegdzie atoli dochodziło do 5, 6, a nawet 7 metrów. Całe powiaty zmieniały się w ogromne jeziora, z których gdzieniegdzie sterczały kominy domów lub wierzchołki drzew. Prawie jedna piąta wszystkich mieszkańców Galicyi ujrzała się nagle doprowadzoną do ostatecznej ruiny, pozbawioną chleba, przytułku i nawet nadziei, gdyż woda nietylko poniszczyła plony, lecz popsłukiwała lub pozasypywała zwirem rodzajną ziemię. Stratę, jaką kraj poniósł w tych kilku dniach, szacują na 20 milionów złr.; sam fundusz krajowy w drogach i mostach utracił około miliona, nie mówiąc już o drogach i mostach powiatowych i gminnych, z których niewielkie tylko szczątki ocalały. Znając dbałość rządu austryackiego i zapobiegliwość naszej własnej hierarchii społecznej, możemy na pewno powiedzieć, że ubiegły tydzień zadał nam taką ranę, z której przez długie lata nie będziemy się mogli wyleczyć, a która może stać się przyczyną wielu i ważnych zmian w ukształtowaniu naszego społecznego i politycznego życia.

Przerażające wieści o klęskach groźnem echem odbiły się po całym kraju, w Krakowie i we Lwowie pozawiązywano komitety ratunkowe, zapowiedziano liczne festyny, zabawy, wydawnictwa na dochód dotkniętych powodzią, składki prywatne w kilku dniach przyniosły około 30 tysięcy złr., dzienniki uderzyły na trwogę, wzywając pomocy państwowej, a cóż robi pań-

---

wszystkie te jaskółcze gniazda przylepiły się do ruin.

Bystre oko Tommasa spoczęło wysoko na ciemnej wklęsłości muru, stanowiącego część pałacu. O jakie trzydzieści stóp po nad ziemią, możnaby powiedzieć na pierwszem piętrze, tylko że takie domy nie posiadają wyraźnych piętr, znajdował się obszerny otwór, śmiałym łukiem i kolumnami na dwie podzielony części, a dalej obszerna przestrzeń, która musiała niegdyś tworzyć otwartą galeryę lub przedsionek. Od frontu stało parę starych wazonów, z pnącemi roślinami, trochę gospodarskich sprzętów i klatka na ptaki. Do słupa zachwycającej i lekkiej kolumny przywiązany był sznur, a drugim końcem umocowany w głębi gmachu, suszyła się na nim rozwieszona bielizna, świadcząca o biednem życiu, chroniącem się wśród szlachetnych ruin wspaniałego niegdyś pałacu. Chociaż Tommaso Lupi wpatrywał się w to wszystko z natężoną uwagą, nikogo jednak nie dostrzegł; szybkim krokiem wszedł więc po zewnętrznych schodach, prowadzących do otworu, który niegdyś prawdopodobnie służył za okno, teraz jednak zamykały go drzwi drewniane. Tommaso, jak gdyby ze zwyczaju, że te drzwi nigdy się nie zamykały, chciał przez nie wejść szybko, lecz nie ustąpiły pod jego ręką. Zapukał więc niecierpliwie i przysłuchiwał się niespokojnie; po chwili, która mu wiekiem była, dały się słyszeć przeciągłe kroki i drżący głos zapytał: „Chiè?“ jak do dziś jeszcze odzywają się florentyńczycy, gdy kto puka, lub pociąga za pierwotny sznurek u dzwonka, który im rączkę zastępuje.

— „Amici!“ odpowiada się zwykle na to pytanie, Tommaso wyrzekł ten wyraz gniewnie, dodając przytem:

— Ktożby tu zresztą mógł być, prócz mnie, Tommaso Lupi! Czy chcecie żebym jeszcze stał długo przed temi drzwiami?

Zgrzybiała, straszliwie brzydka, stara baba otworzyła nareszcie.

— No, matko Hekato — zawołał Tommaso pół niespokojnie, pół żartobliwie, gdzie jest Gelsomina i co się to stało, że siedzicie zamknięte, jakby — uchowaj Boże — w czasie zarazy?

Stara odpowiedziała, że Gelsomina jest w mieszkaniu. Co tam jeszcze mruczała, Tommaso nie miał już czasu słuchać. Przecisnął się koło niej i wszedł do ciemnej galeryi, różnymi zawalonej gratami. Drugie drzwi w jej końcu prowadziły do mieszkania — dużej sali z oknami od frontu. W samej głębi postać jakaś siedziała skulona, przy wejściu młodego człowieka podniosła się opieszale, skoro jednak wchodzącego poznała, rzuciła się ku niemu.

Była to młoda dziewczynka, o prześlicznych kształtach, z główką tak piękną, jak na tych marmurowych posągach starożytnych bogiń, które zaczęto odnajdywać w ziemi i przenosić jak świętości do pałaców papieża w Rzymie, czemu się wielu niemało dziwiło. Skoro stanęła przed młodym artystą, który ją objął miłosnem spojrzeniem, zawahała się na chwilę, a potem przytuliła do jego piersi.

Tommaso podniósł ją w górę, otoczył silnem ramieniem, zdawało się, że jej zobjęć wypuścić nie może. Nic dziwnego, na podobną chwilę czekał on lata całe! Tommaso znał oddawna młodą wnuczkę swej starej sąsiadki, Orsoli Benincusa, patrzył jak z dziecka stała się dziewicą, i wcześniej może nim rosnąć przestała, namiętnie ją pokochał. Od roku, gdy doszła do lat piętnastu, starał się poczciwie o pozyskanie jej serca, lecz swawolne dziewczę zawsze go żartem zbyć umiało, a chociaż co wieczór godzinami całemi siedział przy niej gdy prządła, nie obdarzyła go nigdy najmniejszą pieszczotą. A dziś?

(D. c. n).

stwo? Cesarz ze swej szkatuły udzielił tymczasowo 8,000 złr., t. j. mniej więcej po 8 centów na jednego powodzią zniszczonego mieszkańca! Jeszcze świetniej popisało się ministerstwo spraw wewnętrznych, opatrując nas olbrzymią sumą 3,000 (wyraźnie tysięcy) złr! Tego ułamku z jednego centa, jakiby stąd wypadł na jednego biedaka, nie będę obliczał. A przecież państwo ciągnie z tej zrujnowanej i wysysanej Galicyi rocznie około 13 milionów czystego zysku! Mała tylko część tego rocznego dochodu, odłożona na regulacyę rzek galicyjskich, zdołałaby była odwrócić bodaj w największej części straszliwą klęskę, i to klęskę coroczną, peryodyczną, prawie nieuchronną przy obecnych warunkach.

Ażeby zrozumieć, dlaczego dzienniki krajowe tak silnie uderzają właśnie na zaniedbanie regulacyi naszych rzek, trzeba zauważyć, że właśnie co do większych, mogących być spławnemi, rząd osobną ustawą ma dla siebie zastrzeżoną inicyatywę; bez niej (nie zezwolenia nawet!) nic kraj robić nie może. Ustawa o melioracyi nadrzecznych dolin, dopiero w bieżącym roku uchwalona, nie otrzymała jeszcze sankcyi cesarskiej. Oczywista rzecz, że wobec takiego stosunku kraj mógł tylko prosić o regulacyę, nalegać, co najwięcej — przyczyniać się pewnymi datkami do robót rozpoczętych. Rząd zaś, uporczywie trzymając się starego centralistycznego systemu, wydawał miliony na regulacyę i usławnienie Dunaju, Mołdawy itp., wcale nie troszcząc się o rzeki galicyjskie. Wyznaczano na nie rocznie po kilka tysięcy złr.; pieniądze te razem z zasiłkami krajowymi wydawano zwykle na maleńkie roboty, cząstkowe budowle, które przy lada powodzi znikały lub w najlepszym razie żadnego nie przynosiły pożytku. Tylko nad Wisłą, i to przeważnie z pomocą miejscowej ludności, pobudowano kilka znaczniejszych wałów ochronnych, z których obecna powódź dwa czy trzy najznaczniejsze zniszczyła.

Nadmienić winienem, że gdy przed dwoma laty straszliwa powódź zniszczyła Tyrol, krainę daleko mniejszą, niż zalany obecnie obszar Galicyi, toż samo ministerstwo spraw wewnętrznych sypnęło mieszkańcom pół miliona zapomogi, a Rada państwa uchwaliła 12 milionów oprocentowanych i bezprocentowych pożyczek na regulacyę rzek i podźwignięcie kraju z ruiny. Czy Galicya doczeka się choć w części czegoś podobnego — wątpimy.

A przecież rząd austryacki nietylko grzechami niedbalstwa zgrzeszył przeciw Galicyi i przyczynił się do jej niezliczonych klęsk. Jako właściciel ogromnych obszarów dóbr królewskich i starościńskich, teraz zwanych kameralnemi, zniszczył on i zmarnował bardzo wiele lasów górskich, ogołocił grzbiety i podnóża gór z roślinności — dla marnego a częstokroć i bez żadnego zysku. Jako prawodawca za czasów absolutyzmu dozwalał niszczyć lasy właścicielom prywatnym i dozwala to samo jeszcze i obecnie, pomimo biura ochrony lasowej w namiestnictwie i pomimo ustawicznych skarg dziennikarstwa i opinii publicznej. Jakie ogromne rozmiary przybiera spustoszenie naszych dziewiczych borów górskich i prześlicznych lasów podgórskich, o tem powziąć może wyobrażenie każdy jadący koleją z Przemyśla przez Sambor, Stryj, Dolinę, Kałusz, Stanisławów i Kołomyję ku Czerniowcom: prawie na każdej ważniejszej stacyi wzrok jego uderzą olbrzymie składy drzewa, kłód, tarcic, łat, polan itp., gdzie na przestrzeniach kilkudziesięciomorgowych piętrzą się setki tysięcy sążni kubicznych drzewa. Dzień w dzień całe pociągi tych naszych skarbów pędzą na zachód, do Prus, do Niemiec. W dwóch latach ubiegłych wywieziono samych ogromnych kloców dębowych na budowle okrętów pruskich do Hamburga — kilka milionów; jeden niewielki lasek w Uniatyczach, należący do żyda Kreisberga, dostarczył ich 15,000 sztuk.

Że wobec takiego spustoszenia lasów klimat całego kraju zmienia się gwałtownie, że stan normalny wody w rzekach i strumykach obniża się, po ciężkich posuchach następują ogromne ulewy i powodzie, to jest rzeczą w ostatnich czasach aż nadto widoczną, zbyt już często podnoszoną i — opłakiwaną przez tysiące biednych, zniszczonych i do kija żebraczego doprowadzonych mieszkańców.

Od tych spraw ogólno-krajowej natury, których dla ich ważności w korespondencyi z „Rusi Czerwonej“ pominąć nie mogłem, przejdę do specyalnie ruskich.

Po ostatnim wiecu lwowskim, o którego znaczeniu w poprzednim liście obszerniej pisałem, widać jakiś rozstrój, jakieś zdenerwowanie w publicznem życiu rusinów galicyjskich. Deputacya, wybrana na wiecu dla przedstawienia cesarzowi uchwały, dotychczas nie wyjechała, a i w opiniach uczestników wiecu, zwłaszcza z pomiędzy partyi „narodowców“ zaczyna dokonywać się pewien zwrot. Dobitnie wyrażone na wiecu tendencye religijne, którym dali się na chwilę unieść i politycy z obozu narodowców, poddano teraz ściślejszemu rozbiorowi ze strony politycznej i zobaczono, że wiec przyczynił się jedynie do wzmocnienia dążeń partyi starowierców, którzy obecnie w swoich dziennikach otwarcie propagują prawosławie, przez co wobec jezuitów, unitów i rządu zajęli stanowisko otwarte, pod pewnym względem radykalne. Narodowcy zaś wobec tej propagandy zobaczyli się bezsilnymi. Jezuityzm przekonywa ich codzień, że Rzym nie myśli na seryo o unii, że ona obecnie jest złamaną i martwą; szerzyć prawosławie zabrania im przezorność polityczna — widzą bowiem jasno, że w takim razie rząd austryacki całym ciężarem swej administracyjnej maszyneryi przygniótłby rusinów, a pomoc zewnętrzna jest nadzieją bardzo wątpliwą. Walczyć zaś i przeciw ultramontanizmowi i przeciw prawosławiu, nie dając ze swej strony nic pozytywnego prócz tej unii, w którą obecnie nikt nie wierzy—jest to, przyznacie sami, praca niewdzięczna i nie wiele obiecująca. Otóż pod wpływem takich refleksyj organa narodowców w kwestyi obrzędowej milczą, zapewne czekając, jak się zawikłane stosunki same przez się rozplątywać zaczną. Zdaniem mojem, jest to błąd wielki, który co najrychlej poprawiony być musi. Że zresztą nie łatwo tutaj znaleść dobre wyjście i że Ruś halicka, żyjąca dzisiaj dość ciasnem, partykularnem życiem, nie była odpowiednim gruntem, na którym by wyrastali ludzie z szerszym poglądem i zdolnościami politycznemi, to także pojąć łatwo. Jedyny człowiek, posiadający zaufanie rusinów, bogaty doświadczeniem życiowem i parlamentarnem, ks. Stefan Kaczała, leży obecnie złamany wiekiem i złożony ciężką chorobą. Prawda, i na łożu boleści nie wypuszcza on pióra z ręki, lecz nie zabiera już głosu w sprawie kościelnej, w której byłby najkompetentniejszym.

W ostatnich 8-iu numerach *Diła* wydrukowany jest obszerny artykuł sędziwego przywódcy rusińskiego: „Szkoły ludowe i ich wpływ na materyalny byt kraju.“ Już sam tytuł charakteryzuje kierunek tej pracy. Podczas gdy bowiem w naszych polsko-szlacheckich kołach i organach mówi się zwykle tylko o zbawiennem działaniu szkół na „umoralnienie“ i „uobywatelenie“ ludu, ks. Kaczała żąda, ażeby szkoła była także i to nawet przeważnie sługą ekonomicznych interesów ludu, dźwignią jego dobrobytu, żeby uczyła także tych prac, które w życiu wieśniaka pierwszorzędne zajmują miejsce, a więc rozumnego i postępowego rolnictwa, ogrodnictwa i pszczelnictwa a także najniezbędniejszych rzemiosł. W tym celu żąda ukrócenia miary teraźniejszych *wymagań* teoretycznych (mówimy „wymagań,“ gdyż dzieci, od których obecny system żąda fizyki, astronomii, geografii, botaniki, mineralogii i wielu innych rzeczy, bardzo często wychodzą ze szkoły wiejskiej nie nauczywszy się nawet porządnie czytać!), a natomiast przyznania przeważnego stanowiska naukom praktycznym, wyposażenia szkół większymi ogrodami i gruntami dla praktyki rolniczej i odpowiedniej reformy seminaryów uniwersyteckich. Cały zresztą obszerny artykuł, pisany nadzwyczaj żywo, stylem przejrzystym i pięknym językiem, świadczy o młodzieńczej sile ducha i głębokich uczuciach jego autora.

Inny znany publicysta rusiński, także duchowny, podpisujący się pseudonymem „Obacznyj“ wystąpił obecnie z obszerną broszurą p. t. *Skażim sobi raz cilu prawdu w oczy.* Jest to już trzecia część obszernej pracy tego autora, podjętej przed kilku jeszcze laty w celu pewnej reformy rusińskiego duchowieństwa. Traktuje ona w sposób miejscami nader żywy i barwny o t. z. *jura stolae* i innych pokrewnych prawach, przeważny wpływ mających na materyalny byt księży i ludu naszego. Autor gorąco odczuwa nienormalność i niegodność tego położenia, w jakiem interes ekonomiczny stawia duchowieństwo wobec ludu — pragnie zmiany i ognistymi wyrazy do niej zachęca — brak mu atoli pewnych, trwałych podstaw, na którychby ta reforma dała się przeprowadzić *).

Wiadomo zapewne czytelnikom, że i we Lwowie od r. 1867 do 1880 wychodziło czasopismo rusińskie *Prawda*, organ t. z. ówczas stronnictwa galicyjskich ukrainofilów—narodowców. Ostatni zeszyt, pod redakcyą nieboszczyka Barwińskiego, pozostał niedokończony, i dopiero obecnie uzupełniony dokładną bibliografią wszystkich artykułów i ciekawych notatek zamieszczonych we wszystkich trzynastu rocznikach *Prawdy*, pojawił się w handlu księgarskim.

Bibliografia tego organu jest, można powiedzieć, bibliografią całej literatury ukraińskiej za lata osobliwie 1867 do 1877, kiedy to prawie wszystkie ważniejsze prace ukraińców drukowały się naprzód w tem czasopiśmie (wymienimy tylko prace historyczne Kulisza, powieści Neczuja-Lewickiego i Koniskiego, poezye Koniskiego, Staryckiego, Rudańskiego, Kulika; wierszowany przekład Hioba przez Rataja, znakomite artykuły z dziedziny literackiej i politycznej krytyki p. Dragomanowa, tłomaczenia historyi w życiorysach Kostomarowa itp.). Z pisarzy galicyjskich umieszczali w *Prawdzie* swe prace: poeta Fedkowicz, Wł. Barwiński, Wł. Nawrocki (znakomite artykuły statystyczne: o propinacyi, o podatku domowym, o podatku dochodowym, o reformie finansów austryac-

---

*) Odpowiadając na wezwanie sz. redakcyi (nr. 24), ośmielam się wyrzec, że na bałamutne frazesy *Kuryera poznańskiego* o rusińskiej gotówce i kredycie nawet odpowiadać nie warto, już chociażby dlatego, że zaraz pierwszy ustęp jego gadaniny jest fałszem. Czy rusini są dla kogokolwiek kapitałem, tego nie wiem, żeby jednak ten kapitał równał się prawie zeru, temu stanowczo przeczę. Czytelnicy *Prawdy*, którym staram się bez deklamacyi i przechwałek przedstawiać prace i dążenia rusinów, wiedzą o tem dostatecznie. A jeżeli rusini są kapitałem równym zeru, co też arcykatolicki korespondent baje o kredycie? Gdzie kapitał zero, tam o kredycie mowy niema—tam wszelkie operacye handlowe nazywają się „szwindlem.“ Jeżeli zaś sz. rusin-korespondent pod tym kapitałem rozumie naród nie-rusiński, lecz tylko duchowieństwo, i nie całe, lecz tę jego część, do której sam należy, tj. jezuicko-ultramontańską, to ma zupełną słuszność, twierdząc, że ten kapitał równa się zeru. Tak jest, chociaż to zero w obecnej kanikule jezuickiej dmie się jak gdyby znaczyło milion. Miejmy nadzieję, że ona długo nie potrwa i że zero zostanie zerem!

kich itd.), J. Franko (początek tłomaczenia Fausta Goethego). Tenże sam pisarz ułożył i obecną bibliografię całego wydawnictwa, gdzie oprócz tego umieszczono całkowity spis prac Wł. Barwińskiego i Wł. Nawrockiego, a więc drukowanych także nie w *Prawdzie*, lecz i w innych wydawnictwach.

Myron.

HIPOLIT LIPIŃSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Żal nad każdą trumną znakomitego człowieka zdwaja się nad grobem pracownika, którego śmierć porywa przedwcześnie, w pełni sił i w rozkwicie wieku. Takim właśnie żalem przejmuje nas zgon Lipińskiego, w 38 roku życia. Była to jedna z najpiękniejszych sił naszego malarstwa. Jego „Targ na Kleparzu“ i „Targ na Placu Szczepańskim,“ jego wreszcie inne obrazy rodzajowe („Procesya Bożego ciała,“ „Niedźwiedź w miasteczku górskim“ itd.), oddychające szczerą prawdą i malowane z wielkim talentem zapewniły mu sławę, której na tem polu dziś może nikt u nas z nim nie dzieli. Wszyscy bowiem pamiętamy, jak one świetnie odbijały na wystawach warszawskich, jak chętnie zwrok zwracał się na te płótna pełne wdzięku, oryginalności i życia. Kto, jak Lipiński, umiał tak utrzymać niepokalaną perspektywę, wiernie chwytać typy ludowe i małomiejskie?

Urodził się w Nowym Targu a kształcił naprzód u Anschütza i Diatza w Monachium, później zaś w krakowskiej Szkole Sztuk pięknych pod kierunkiem Matejki. Zmarł z choroby nieuleczalnej a zmarł w chwili, kiedy talent jego dobiegał do swego zenitu. Pozostawił po sobie niepospolite dzieła i długą pamięć.

LIBERUM VETO.

Tryumf jednej z potęg tego świata. — Skupienie szczegółów i masa. — Wrażenia ilości. — Wędrówki reporterów za śladami powodzi. — Hojne ofiary. — „Na pomoc.“ — Prośba do czytelników. — Za przykładem morza. — Projekt publicznej biesiady. — Żywe szachy. — Jubileuszowe wydanie dzieł Kraszewskiego. — Piękna kwestarka i twardy niedowiarek. — Sen letni.

Siódma, czy ósma potęga świata, która u nas ma tyle siły, ile kedyw egipski — prasa oddziałała w ostatnich tygodniach na życie nasze skutecznie. Nie posadziła nikogo na tronie, nie zmieniła stosunków międzynarodowych, nie podszrubowała kursu weksli, ale zrobiła to, co robi zwykle jej oblubieniec przewoźnik Kocz—ratowała tonących. Zaprzeczyć trudno, że skrzywdzeni lub zrujnowani przez wylew jej zawdzięczają w znacznej części szybko otrzymaną pomoc. Od dwu tygodni reporterzy latają zaziajani po brzegach Wisły lub puszczają się statkami w najdalsze jej okolice, znosząc wiadomości o klęskach. Chociaż wielkie nieszczęście jednostki nie jest ani o włos mniejsze od takiegoż nieszczęścia milionów, na ogół wywiera dopiero wrażenie ilość — masa. Gdyby on się dowiadywał powoli, że tam woda zabrała komuś krowę, gdzieindziej zatopiła plony, gdzieindziej znowu podmyła dom — po szeregu głębszych lub płytszych westchnień przeszedłby do porządku dziennego. Tymczasem gdy mu naraz pisma uprzytomnią cały ogrom klęski — najtwardsze serca wzruszają się. Wtedy na liście ofiarodawców spotykamy ludzi, którzy żyją krwawą pracą biedaków, którzy umieją robotnikom wytrącić rubla za kilkunastominutowe spóźnienie się do fabryki i którzy nagle z kas swoich dobywają czerwony lub tęczowy banknot. A trzeba przyznać, że dzienniki nasze nie żałowały ani wzruszających szczegółów, ani ciemnych barw. Reporterzy zbobrowali całe koryto Wisły i wszystkie jej przypływy, zajrzeli do każdego kąta, wynieśli na widok wszelką nędzę i stratę, tak dalece, że wątpię, czy jeden porwany przez falę kot uszedł ich uwagi. Z tych doniesień złożył się obraz szeroki, zarazem groźny i błagalny. Nie dziw też, że redakcye, zbierające składki, obległ tłum, wyciągający ręce z datkami. Samemu *Kuryerowi warszawskiemu* zsypano dotąd około 18,000 rs., nie licząc artykułów żywności i odzieży. Wszystkie organa społeczne pobiegły z pomocą dla zagojenia tej rany, z której klęska dużo krwi wytoczyła.

Prasa tedy nasza, uprzytomniając społeczeństwu spustoszenia powodzi i pobudzając je tym sposobem do szczodrej ofiarności, odniosła bardzo piękny tryumf, daleko piękniejszy, niż wawrzyny, zdobyte w walce z Darwinem, Haecklem i „pozytywistami.“

Obok wsparć pieniężnych, grono literatów i artystów przedsięwzięło wydanie zbiorku p. t. *Na pomoc*, z którego dochód również użyty zostanie dla ratowania dotkniętych powodzią. Nie znam wartości tego wydawnictwa, sądzę jednak, że ona nie będzie mniejszą od innych tego rodzaju doraźnych publikacyj (np. *Ziarna*), w każdym zaś razie proszę was czytelnicy — kupujcie, cokolwiek z hasłem pomocy dla biednych do was przyjdzie. Złe jest całemu społeczeństwu, gdy je rozedrze niedola. Każda nieusunięta nędza staje się dla niego, prędzej czy później, przekleństwem, karą, lub siłą wybuchową. Nie zginie, chociaż przed nią zamkniemy oczy, lecz jak każda przyczyna zrodzi swoje skutki. Odnajdziesz je w cierpieniach, zbrodniach, szpitalach i kryminałach! Postępujmy jak morze, które rozprute na chwilę zaraz otwartą głębię zalewa.

Stosunek zebranych i przewidywanych składek do potrzeby pozostawia tak wielkie jeszcze braki, że pomysłowość w wynajdywaniu źródeł pomocy nie powinna się uważać za wyczerpaną. Odstępuję każdemu głosu, kto ma pod tym względem bogatszą wyobraźnię, ale zdradzę się ze swoim projektem. Zdaje mi się, że byłoby środkiem materyalnie zyskownym urządzenie w Ogrodzie Saskim wielkiej biesiady na korzyść powodzian z urozmaiconym programem. Urządziłbym go tak: Nr. 1. Orkiestra Teatru Wielkiego odegra uwertury z Don Juana i Fletu zaczarowanego. Nr. 2. Dowiakowska, Myszuga, Zejdeman itd. odśpiewają sola, duety lub tercety. Nr. 3. Żółkowski, Królikowski, Marcello, Wisnowska it. odegrają kilka aktów sztuk znanych lub nieznanych. Nr. 4. Orkiestra Laubego wykona symfonię Beethovena. Nr. 5. Winawer z Kleczyńskim odegrają partyę szachów żywemi figurami w odpowiednich kostiumach. Ta ostatnia nowość, znana w Ameryce i Anglii, miałaby u nas niewątpliwe powodzenie. Szeregi mężczyzn i dam wystąpiłyby na szachownicy, dając bohaterom sposobność do okazania oryginalnych strojów. Panowie i panie z arystokracyi — pomyślcie o tem, a już my poprosimy grających, ażeby was w pierwszych posunięciach nie zabili i z najnadobniejszych pionków zrobili królowe.

Zresztą — jak rzekłem — ponieważ nie roszczę sobie pretensyi do tych wyżyn, na których stanął i z których tak przedwcześnie zeszedł b. prezes zabaw p. K. Dobiecki, więc chętnie się zgodzę na uznanie, że mój projekt jest kulawym, jeśli tylko prostszy się znajdzie.

Naturalnie ów prostszy nie powinien czekać zimy, bo wtedy gorące dziś i zdatne do kucia żelazo ostygnie. Zwłaszcza bowiem u nas—pory przestrzegać trzeba. Kto nie kupił jubileuszowej edycyi *Dzieł* J. Kochanowskiego podczas krakowskiego zjazdu, kiedy przychodziły telegramy i korespondencye, kiedy każdy czuł w sobie chęć poznania „księcia poetów“ — tego dziś do nabycia ich namówić może tylko bardzo piękna kobieta. Plato, żyjąc w naszych czasach, niewątpliwie doradzałby założenia osobnej instytucyi, w której piękne kobiety byłyby obowiązane nakłaniać ludzi do robienia tego, czego bez nich nie zrobiliby. Do jednego z moich znajomych, który—że użyję słownictwa *Przeglądu katolickiego* — „dyabłu duszę sprzedał“ a ściśle mówiąc z aniołami stosunków nie utrzymywał, weszły raz dwie niewiasty, kwestujące na kościół. Starszą ziemia znosić mogła, ale młodszą się szczyciła. Dwadzieścia kilka lat, postawa smukła i należycie wytoczona, twarz biała z turkusowemi oczami, ciemne włosy w lekkich falach swobodnie ujęte, uśmiech na świeżych ustach rozpływał się co chwila jak wiosenne światło — słowem—czarodziejka, wobec której św. Antoni musiałby dobrze uchwycić się krzyża, ażeby nie uledz pokusie. I ta właśnie zwróciła się do mojego znajomego. On naprzód probował uratować swoje zasady.

— Najchętniej, proszę pani — rzekł, ale według mojego przekonania posiadamy dosyć kościołów.

— Dosyć? — zapytała piękna dama. Dawno pan był w którym?

— Można obliczyć. Zresztą, nie chodząc, ustępuję komuś miejsca i tym sposobem przyczyniam się do pomnożenia...

— Ach, wspaniałomyślność cudzym kosztem. Przecie pan tego kościoła, do którego nie uczęszczasz, nie wsparłeś. Ale teraz właśnie nadarza się sposobność... na ile pana mam zapisać?

— Jeżeli pani przyjmie ofiarę dla szkoły...

— I owszem, gdy będę zbierała dla szkoły, od pana zacznę kwestować. Tymczasem?... Panie, ja nie mam gdzie modlić się — potrzeba mi kilku rubli...

Niedowiarek wyjął dziesięciorublówkę, podał kwestarce i rzekł.

— To co innego.

Ona podziękowała mu boskim uśmiechem i wyszła, a on pozostał z wiarą, że „to było co innego.“

— No, cóż — mówił potem do mnie — sama bogini prosiła, ona warta, żeby dla niej wystawić kościół.

Tak najtwardsze zasady topnieją nieraz w ogniu cudownych oczu. To też sądzę, że gdyby urocza kolporterka roznosiła dzieła Kochanowskiego, niedługo należałyby one do rzadkości bibliograficznych. Piękna kobieta może wrażliwego mężczyznę namówić do głupoty, szaleństwa, zbrodni, a cóż dopiero nakłonić go do lekkiej ofiary. Lecz wy, moi czytelnicy, pokażcie, że was nie potrzeba pobudzać tak silnymi środkami i kupujcie prześliczne, nadzwyczaj staranne a nie drogie wydanie dzieł Kochanowskiego. Należy zaś spieszyć się, zanim zapadniemy w sen letni.

Już dziś, gdy niebo przestało zlewać deszcz, o który go nikt nie prosił, i gdy słońce przygrzało, zaczyna całe życie nasze ogarniać zwykła, tj. ogórkowa drzemka. I politycy dziennikarscy kiwają się przy swoich kołowrotkach, zmęczeni przędzeniem wiatru, który już wiać przestał. Nawet p. Muraszko legł dla odpoczynku i nie tropi „intrygi.“ Lipiec i sierpień są to właśnie miesiące, w których najmniej od ukąszeń z tej strony cierpią nasze pięty. Wszystkim świętym chwała i za to!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Reforma dzwonkowa. — Komitet w Sandomierzu. — Znowu o Łodzi, żydach i przyczynach wyzysku. — Nieprzyjemna pomyłka *Roli*. — Dwie sprawy sądowe. — Błyski światła. — Stanisław Horwatt. — Trzej samobójcy.

Nielicznych już podróżników, obijających sobie boki na pocztowych brykach, czeka pewna niespodzianka. Jednego pięknego poranku ujrzą oni na koźle nie typowego pocztyliona, który w nadziei trinkgeldu wygrywał na przedętej trąbce niezapomnianą „Marynę," ale indywiduum, ubrane w ukośnie spięty kaftan, w okrągłą czapkę z pawiem piórkiem na głowie, a zamiast chrapliwych tonów trąbki usłyszą dźwięczny, ale monotonny głos dzwonka. Przemiana ta nastąpi wskutek nowych przepisów, które wkrótce wejdą w wykonanie i ma na celu sprowadzenie miejscowych różnic do wspólnego mianownika. Znosi ona tradycyjne odrębności w imię szerszych interesów, uważam przeto za stosowne powiadomić o niej moich czytelników. Moja wszakże fantastyczna wędrówka po prowincyi nie ulegnie z tego powodu żadnej zmianie; zwierzchni kostyum zostaje ten sam, aż do dalszego rozporządzenia, no, a wygrywającą wesołe pobudki trąbkę dawno już zastąpić musieliśmy płaczliwie jęczącymi dzwonkami.

Dodać należy, że nim przepisy weszły w życie powstała już z ich przyczyny nowa kwestya. Ponieważ na nadwiślańskich równinach użycie t. z. dugi nie znajduje zastosowania, chyba w żydowskich biedkach, rodzi się więc pytanie: gdzie przytwierdzać dzwonki. Pocztmajstrzy podzielili się na dwa obozy, jedni mówią, że do dyszla, drudzy, że do chomontów. Sądzę, że pierwsi mają racyę, bo dyszel pozostanie chyba zawsze, krakowskie zaś chomonty sprowadzone być powinny do ogólno-słowiańskiego mianownika.

Inne, bijące na alarm dzwony obwieściły całemu krajowi o strasznej klęsce powodzi, która dotknęła Powiśle. Obecnie z rozporządzenia władzy utworzone zostały komitety miejscowe, które nieszczęśliwym pospieszyć mają z pomocą. Jak się wezmą do tego dzieła, nie chcemy przesądzać, bo dotąd mamy wiadomość tylko o jednym — w Sandomierzu. Posłuchajmy naocznego świadka: „Do przedsionka ratuszowego ściąga codziennie około pięciuset nędzarzów po *racye* czarnego chleba. Racya taka początkowo wynosiła dwa funty, od wczoraj zmalała do jednego funta, dziś zaś urzędnik, zajmujący się rozdzielaniem tego żebraczego posiłku, oświadczył zgłodniałej rzeszy, iż jej na jutro chleba nie obiecuje." Magistrat wydał 500 rs. zapomogi a składki w ciągu tygodnia przyniosły zaledwie 150 rubli! O żadnej publicznej zabawie pomyśleć nie można, bo miasto biedne, a obywatele ziemscy na zebraniach takich nie bywają „z zasady." Biedni, pozbawieni całego dobytku nędzarze, co przepływacie codziennie Wisłę w korytach (za fakt ten ręczy korespondent) dla otrzymania kawałka chleba, pocieszcie się, że wasi „naturalni przedstawiciele" mają stałe zasady i stoją przy nich wytrwale!

Ten sam korespondent *Kuryera codziennego* opowiada, że gdy zwiedzał zalane wodą miejscowości, w jednej izbie drżący starzec zwrócił się z czemś w rodzaju prośby: „Jeśli będą dla nas jakie wsparcia, niech nie będzie żadnych *opiekunów*, bo tamtym razem to nas okrutnie krzywdzili, niech im Bóg tego na sądzie ostatecznym nie policzy!"

Tydzień piotrkowski daje ze swej strony przyczynek do charakterystyki społeczno-ekonomicznych stosunków Łodzi. Nieuczciwe bankructwa są na porządku dziennym, podpalanie własnych sklepów przybrało takie rozmiary, że towarzystwa asekuracyjne przedsięwziąć musiały nadzwyczajne środki ostrożności; podejrzywają bowiem z góry, że każdy zabezpieczony sklep zostanie spalonym. Przemysł trzyma się niemieckiej zasady *źle aby tanio*, a na cenę wyrobów wpływa ta okoliczność, że robotnik kosztuje mało, bo 66% pracujących w fabrykach stanowią dzieci. Przemysłowcy mniejsi nie posiadają kapitału i opierają się tylko na kredycie, nowych konceptów nie mają i zapatrują się na sąsiadów, wypuszczają towar podobny za zniżoną cenę, ale w coraz lichszym gatunku. Jest to współzawodnictwo nieuniknione przy produkcyi kapitalistycznej, ale współzawodnictwo nierozumne, szkodliwe dla współubiegających się a nieprzynoszące pożytku kupującym. Charakterystyka ta w większej części wziętą jest z *Ruskiego Kurjera*, który w łódzkim przemyśle nie widzi zgoła niebezpiecznego rywala dla fabrykantów rosyjskich. Podobna gospodarka wcześniej lub później doprowadzić musiała do przesilenia.

Znaczną część przemysłowców łódzkich stanowią żydzi, na których i w tym wypadku spada odpowiedzialność za to, co jest wynikiem ustroju społecznego. Tylokrotnie poruszaliśmy już tę sprawę i raz jeszcze musimy ją powtórzyć w odpowiedzi interpelującemu nas korespondentowi z Zawiercia. Pisząc o nadużyciach w tamecznych fabrykach, zwróciliśmy nawet uwagę, że wyzyskiwaczami są żydzi, co eksploatacyi ludności robotniczej nadaje bardziej ostry charakter. Dlaczego zaś w części tylko przedstawiliśmy stan rzeczy i dlaczego nazwiska winnych nie zostały wymienione, odpowiedzieć muszę, że fakty wzięliśmy z innych pism, które również nazwisk nie podawały. Poprzednio wypowiedziana uwaga objaśni czytelnika, dlaczego nie dodaliśmy do opisu faktu antisemickiej doprawy. I oto teraz mamy np. wiadomość o wyzyskaniu robotników w zakładach fabrycznych w Albertynie (gub. grodzieńska). Biedaków tych sprowadzono z różnych stron, a teraz część ich wydalono i zarząd niektórym odmawia nawet wypłaty należności. W danym wypadku przedsiębiorcą jest polak i chrześcianin, którego nazwisko zdobi korona hrabiowska. Zresztą zadaniem tygodniowego fejletonu nie jest zbieranie luźnych faktów, ale grupowanie ich i odpowiednie oświetlanie.

Niejednokrotnie pisma nasze wspominały o emigracyi żydów do Ameryki, która przybiera coraz większe rozmiary. Z Suwałk np. i okolicy wyjechało blisko 400 osób. Z tego powodu *Gazeta lubelska* zrobiła uwagę, że nie żałuje wcale tych wychodźców, owszem pragnie, żeby i inni współwyznawcy podążyli w ich ślady. Niewinną tę wzmiankę podniosła głupowata *Rola* i obsypała komplimentami lubelskiego kolegę. Aż oto ten niewdzięczny oświadcza, że bynajmniej nie jest antisemitą i źle zaadresowanych pochwał nie przyjmuje, emigracyę zaś popiera dlatego, że zmniejsza ona liczbę próżnujących rąk, co, nawiasem powiedziawszy, jest niesłusznem, gdyż wychodzą z kraju zwykle rzemieślnicy a kontyngens faktorów i lichwiarzy nie zmniejsza się wcale.

W Mińsku sąd okręgowy roztrząsał sprawę kilku izraelitów, oskarżonych o nadużycia w ciągu dwóch lat przy wyrobie wódki. Właściciel gorzelni sprowadził sobie specyalistę, który potrafił obejść czujność kontrolujących aparatów i odprowadził bez akcyzy około 12,000 wiader spirytusu. Przy rewizyi znaleziono tajemne księgi rachunkowe, pisane po żydowsku, i kontrakt, w którym Szapira (tak się nazywał specyalista) „jeżeli Bóg mu pozwoli urządzić tak w gorzelni, że spirytus będzie mógł z łatwością odchodzić bez kontroli" obiecaną miał gratyfikacyę.

Doprawdy oburzyłbym się na tę profanacyę religii, gdybym nie wiedział, że wesołe córy Włoch wieszają nad swem łóżkiem obraz św. Magdaleny, którą uważają za patronkę swych zajęć, albo gdyby znany mi Łukasz Baran, wybierając się na nocną wyprawę, nie kładł w zanadrze obrazka św. Szczepana, którego nie wiadomo z jakiej racyi uważał za opiekuna złodziei.

Ciekawszą jeszcze była w sądzie lubelskim sprawa włościan wsi Szpikołosy, oskarżonych o opór władzy.

Przytaczamy szczegóły jej z korespondencyi *Kuryera codziennego*. Na żądanie proboszcza prawosławnego zebranie gromadzkie uchwaliło składkę na odnowienie cerkwi. Dwudziestu kilku włościan odmówiło płacenia, a kiedy władze gminne, wbrew prawu, zaczęły zabierać im ruchomości — poturbowali wójta i jego pomocników. Na sądzie oskarżeni podali się jako katolicy, prokurator zaś na zasadzie ksiąg ludności uważał ich za prawosławnych. Dopiero obrońca wyjaśnił, że są to unici, uchylający się od prawosławia, i powołując się na zasadnicze prawo państwo, które przyznaje wszystkim wolność wyznania, twierdził, że klienci jego wbrew swej woli nie mogą być zaliczonymi do innej religii, że uważają się sami za katolików i za takich uważanymi być powinni. Zresztą ani uchwała nie była legalną, ani sposób jej wykonania dozwolonym przez prawo. Sąd podzielił zapatrywania obrońcy i oskarżonych od odpowiedzialności uwolnił.

Zwykle widnokrąg nasz zaciemniają przeróżne mniejsze lub większe chmurki, przyjemnie więc oświecić go kilkoma błyskami światła.

W okolicach Włoszczowy właścicielem folwarku był p. Z., którego ojciec przed czterdziestu laty oczynszował włościan. Służebności również zostały uregulowane i między dworem a gromadą panowała zupełna zgoda i harmonia. Wskutek licznych strat interesy p. Z. powikłały się i folwark wystawiony został na sprzedaż. Zasłyszawszy o tem włościanie, zebrali swe oszczędności i ofiarowali je dziedzicowi, który po pewnem wahaniu pożyczkę za 5% przyjął i spłacił wszystkie długi. Zamożność ta świadczy o tem, że poprzedni dziedzic uposażył ich obficie, wywdzięczając się za to, dziś uratowali oni od ruiny jego syna. Fakt to wyjątkowy, ale i wyjątkowe też były stosunki, które na gruncie wzajemnych niesnasek i zawiści wyhodować mogły kwiat wzajemnych obowiązków i wdzięczności.

W tym duchu pracował również zmarły niedawno obywatel mińskiej gubernii Stanisław Horwatt. Bezdzietny ukochał gorąco młodzież i wraz z godną siebie żoną podawał jej zawsze rękę pomocy. Znaczne dochody swego majątku poświęcił na stypendya, wspierał swych wychowańców nawet po ukończeniu nauk pieniędzmi i radą, interesując się serdecznie ich losem. W ten sposób wielu biedaków wykształcił na pożytecznych członków społeczeństwa. Oprócz tego w dobrach swych zakładał szkółki dla ludu, wspierał i utrzymywał instytucye dobroczynne a dla oficyalistów był opiekunem i ojcem, dbając zarówno o ich materyalny dobrobyt jak i o wykształcenie. Majątki jego zagospodarowane były wzorowo i pod tym więc względem służył za przykład sąsiadom. Tacy ludzie wielkiego serca i cichej pracy zasługują za życia na szacunek a po śmierci na wdzięczną pamięć społeczeństwa, któremu imię ich świecić winno przykładem.

W rozumnej pracy i dobrych czynach znalazł on cel życia, którego widocznie napróżno szukali trzej młodzi samobójcy, co jednocześnie prawie, jak donosi miński korespondent *Gazety polskiej*, odebrali sobie życie. Byli to wszyscy ludzie inteligentni, majątkowo niezależni, żadne zewnętrzne

przyczyny nie wpływały na ich postanowienie (jeden z nich ożenił się zaledwie przed paru miesiącami). Ale któż odgadnie te walki, jakie toczyły się w ich duszy, za nim zdecydowali się na krok ostateczny!

N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 2 lipca.

W sprawozdaniach dziennikarskich i telegramach naczelne miejsce przed politycznemi nowinami zajmuje cholera. Wbrew pierwotnie wyrażonej opinii lekarzy, że objawy jej są sporadyczne, stwierdzono obecnie, że jest to stara znajoma — cholera azyatycka. Sławny jej badacz dr. Koch wyjechał już do Tulonu.

Radykaliści marsylscy w porozlepianych na rogach ulic plakatach zalecają powieszenie Ferry'ego, ponieważ jego polityka tonkińska sprowadziła zarazę. A tymczasem w Tonkinie znosi się na nową wojnę. Oddział francuski, wysłany na zajęcie twierdzy Langsomu, napadnięty został przez wojska chińskie i odparty. Kiedy nadeszły posiłki, francuzi znowu pobili chińczyków, ale nie posuwają się dalej, czekając na rezultat rokowań z rządem pekińskim, który twierdzi, że to nie były regularne wojska, ale powstańcy. Dla skutecznego poparcia żądań francuskich flota pod dowództwem admirała Courbet udała się na wody chińskie. Wobec takich przekonywających argumentów zgoda łatwo nastąpi.

Konferencya w sprawie egipskiej rozpoczęła już swe posiedzenia, ale trzyma obrady w tajemnicy. Podobna Rosya zażądała także dla siebie głosu w międzynarodowej komisyi, co wcale nie na rękę anglikom. Ugoda anglo-francuska, jak pisaliśmy poprzednio, nie bardzo podobała się po obu stronach kanału, szczególniej kapitaliści francuscy protestują przeciw redukcyi części długu egipskiego. Rząd ustępstwa swoje tłomaczy w ten sposób, że i Anglia niewiele w Egipcie skorzysta. Chodzą także pogłoski, że umowa zawiera tajemny artykuł, określający ściślejsze przymierze dwóch mocarstw zachodnich.

W Bulgaryi skończyły się wybory do skupczyny i liberalni otrzymali, zdaje się, przewagę, chociaż wielu deputowanych włościan, niemających w polityce żadnego pojęcia, niewiadomo do jakiej partyi zaliczyć. Gabinet Zankowa, opierający się na przymierzu żywiołów umiarkowanie liberalnych z zachowawczymi, podał się do dymisyi. Krok ten ułatwi również zakończenie sporu z Serbią; nowe ministeryum nie może bowiem brać odpowiedzialności za błędy poprzedników i może uznać niesłuszność ich postępowania.

Zatarg między królem i przedstawicielami narodu w Norwegii nareszcie został zakończony; król po nieudanych próbach zdecydował się otworzyć ministeryum z radykałów, storthing zaś, nie chcąc pozostać dłużnym, poczynił koronie pewne ustępstwa.

Posłowie poznańscy przygotowują nowy wniosek o równouprawnieniu w szkole języka polskiego. Żądanie to ma być przedstawione parlamentowi, ale, rozumie się, powiększy tylko archiwum daremnych protestów.

Sprawa decentralizacyi kolei żelaznych w Austryi została wreszcie rozwiązaną. Galicya otrzymała bardzo nieznaczne ustępstwa. Językiem urzędowym pozostaje niemiecki, ale zarządy dróg z władzami autonomicznemi, sądowemi i administracyjnemi znosić się mają po polsku, pomiędzy sobą zaś, z władzami wojskowemi i pocztowemi po niemiecku. Ogłoszenia mają być czynione w obu językach. Innym krajom, jak np. Czechom, przyznano jeszcze mniej, ale i te drobne, nic nieznaczące ustępstwa wywołały oburzenie centralistów, którzy twierdzą, że rząd dla przypodobania się słowianom naraża bezpieczeństwo i interesy Austryi.

Graz. Proces anarchistów został skończony; 10 z oskarżonych uznano winnymi i skazano na krótsze lub dłuższe więzienie, maksimum kary jednak nie przenosi 15 miesięcy.

CUDZE GŁOSY.

Petersburskija Wiedomosti w korespondencyi ze Lwowa piszą:

„Nasi więźniowie wciąż jeszcze cierpią w polskich więzieniach, a my z niecierpliwością oczekujemy na te *błogosławione* dni, kiedy się oni znowu znajdą pośród nas i wznowią swoją *dobroczynną* i użyteczną, gwałtem przerwaną działalność. Redaktor *Słowa* W. M. Płoszczański będzie uwolniony już w tych dniach, a mianowicie 18 (30) czerwca, a *niezapomniany* o. Naumowicz musi przecierpieć w więzieniu do końca rosyjskiego sierpnia. Dla obu przygotowujemy uroczyste powitanie, a do tego powitania naszych *dzielnych patryotów*-męczenników niewątpliwie przyłączycie się i wy nasi „zakordonowi“ bracia? W Kołomyi na początku lipca rosyjscy studenci zwołują wiec dla przedyskutowania rozmaitych, głównie akademickich swoich potrzeb. Zaproszono więc pięć „akademickich towarzystw,“ ale na nieszczęście, jak się zdaje, większość uczestników stanowić będą t. z. separatyści i chochłomani. Rozstrzygane mają być kwestye wydawania we Lwowie tygodniowego ruskiego czasopisma literackiego, dalej konieczność wykładania pedagogiki w uniwersytecie lwowskim w języku ruskim i utworzenia katedry historyi i literatury ruskiej w Czerniowcach. Jak widzicie, kwestye bynajmniej niemałej wagi: szkoda tylko, jeżeli przy rozstrzyganiu ich znowu zapomniany będzie pewnik, że jest jeden tylko naród rosyjski, jedna narodowość, *ergo* też i jeden literacki język rosyjski. Tego dotychczas jeszcze wielu z naszych polityko-manów uznać nie chce, czem naturalnie tylko szkodzą naszej sprawie.“

Jeszcze intryga. *Mosk. Wiedomosti*, pisząc o rozbijaniu żydów w Niżnim Nowgorodzie, robią kilka słusznych uwag, ale zarazem dodają do nich nieśmiertelną zwrotkę.

„Nawet na Zachodzie, gdzie ludność żydowska jest stosunkowo nieliczną i gdzie położenie jej materyalne nie jest do zazdrości, i tam ruch antisemicki występuje groźnie, lecz zawsze tylko wskutek obcej agitacyi, ciągłego podburzania.

Zaburzenie na południu Rosyi nosi *również taki charakter*. I w Niżnim krwawy dramat byłby niemożebnym, gdyby go nie przygotowała *obca agitacya*, posiłkująca się tem mniemaniem, jakoby żydzi u nas byli wyjęci z pod prawa.

A więc znowu ta nieszczęsna *intryga*! Że też na całej przestrzeni państwa od Prosny do Amuru niema zakątka, do którego ona wcisnąć by się nie mogła.

Dwie miary. Z powodu zajść w uniwersytecie dorpackim, podczas których studenci niemcy na przekorę kuratorowi śpiewali mu pod oknami „Wacht am Rhein“ i „Germania mein Alles“—*Ruś* zamieszcza piorunujący artykuł:

„Uniwersytet niemiecki w Dorpacie jest stanowczo szkodliwy — i to szkodliwy zarówno dla ludności miejscowej, jak i dla interesów państwa rosyjskiego. Jest to ciemna siła dla ludności tamecznej: jako niemiecko-baltycki, nie prawdzie, ale fałszowi służy; nie dobru, lecz złemu; nie swobodzie, lecz uciskowi; nie pokojowi, lecz zawiści; nie tryumfowi prawdy, lecz krzywdy! To rozsadnik pojęć i ideałów wąskich i ciasnych, krzewiący średniowieczne zasady nierówności plemiennej i rodowych przywilejów, zasady bezprawia i niewoli słabszych... Uniwersytet niemiecki przytem, to najtwardsza opoka, na której wspiera się element niemiecki w kraju nadbaltyckim w dążeniach swych do autonomicznej wyłączności w państwie rosyjskim, to najpotężniejsze narzędzie przemocą a gwałtem sztucznego niemczenia estów i łotyszów, zaprzedawania ogromnej większości tuziemców maleńkiej niemieckiej mniejszości.“

W konkluzyi autor powiada:

„Jeżeli wyszedłszy z zasady, że językiem wykładowym w średnich i wyższych zakładach naukowych winien być język urzędowy, rząd rosyjski przerobił uniwersytet w Warszawie z polskiego na rosyjski, pomimo że to kraj z gruntu i od wieków polski, który miał samoistny byt polityczny, tysiąc lat dziejów, bogate piśmiennictwo naukowe i piękne—to cóż za sens trzymać uniwersytet niemiecki w prowincyi, gdzie jest pięć procentów niemców, którzy tu nie mają ani tradycyi głębokiej, ani miejscowej rodzimej nauki i literatury ..“

Do słów tych korespondent *Wieku* dodaje swoje uwagi:

„Ostatni ten zwrot zapisujemy i zaznaczamy dla pamięci i swojej i *Rusi*. Ale przy tak dobrej sposobności zrobimy uwagę organowi p. Aksakowa, że gdy nad Baltykiem wszystkie jego argumenty wygrywają teoretycznie, praktyka bije wciąż niemiłosiernie i jego i wszystkie jego argumenty, a z nią p. Aksakow ustawicznie przegrywa, choć ma wszystkie teoretyczne atuty w ręku. Kto wie, może ta praktyka bierze rewanż swój za inne starcia, gdzie ani jednego teoretycznego atutu, ani jednej zasady boskiej i ludzkiej, ani jednego argumentu prawnego i etycznego niemasz po stronie p. Aksakowa, a przecież stojąc na gruncie praktycznej wygranej, tenże sam publicysta wszystkimi nimi pomiata, dla tej praktyki coraz nowych domaga się zwycięstw i gardzi wszystkiemi temi teoretycznemi prawdami, na które w kwestyi nadbaltyckiej się powołuje.“

Pretensya. Z powodu artykułu *Gazety polskiej* o przyczynach, dla których prasa polska nie zajmuje się niektóremi drażliwemi kwestyami, *Nowosti* piszą:

„Kiedy prasa rosyjska z wielką uwagą słucha każdego rozumnego głosu, warszawskie gazety odpowiadają po większej części milczeniem albo demonstracyjnem wystawianiem na pokaz wszystkiego, co się w prasie rosyjskiej pisze przeciw polakom. Organa, które postawiły sobie za zadanie rozdrażniać polaków i podniecać plemienny antagonizm, bywają nieustannie cytowane przez warszawskie gazety i nazwiska „rosyjskich podróżników.“ Koczetowów, Muraszków, są ciągle na ustach wszystkich polaków, a publicyści rosyjscy piszący bezstronnie nikomu w Polsce nie są znani.“

Cóż my winni, że te przychylne a rozumne głosy stanowią wyjątek, zwykle zaś i przyjaciele i nieprzyjaciele nasi odznaczają się jednakową nieznajomością stosunków. Dobre chęci pierwszych cenimy, ale dlatego właśnie nie chcemy wystawiać na pokaz ich niewiadomości. Zresztą każdy głos *Moskowskich Wiedomosti* itp. znajduje oddźwięk w rzeczywistości, w ten lub ów sposób oddziaływa na nasze położenie a życzliwość innych nie przyniosła dotychczas żadnych pomyślnych dla nas rezultatów. Dlaczego zdanie p. Muraszki lub Koczetowa ma większą wagę, niż zdanie p. Notowicza — nie nasza rzecz i my na to poradzić nie umiemy.

Polemika czesko-rosyjska. Z powodu uwag niektórych gazet rosyjskich, ganiących udział, jaki przyjęli czesi na zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu, praska *Politik* odpowiada:

„Od jakiegoś czasu gazety rosyjskie lubią zajmować się naszymi stosunkami w sposób, zasłu-

gujący na najostrzejszą odpowiedź. Dziennikarstwo czeskie w traktowaniu spraw rosyjskich postępowało zawsze z oględnością i delikatnością, pochodzącą nietylko z uczucia plemiennego braterstwa, ale i dlatego, że samym rosyanom trudno poprostu otwarcie mówić o swych stosunkach.

Tak samo milczała prasa czeska kiedy w rosyjskich gazetach zjawiły się kompromitujące korespondencye z Wiednia i Pragi a doprowadziła swą delikatność do tego stopnia, że nie opowiadała, jacy to ludzie od dziesięciu lat przedstawiają się u nas jako reprezentanci dziennikarscy narodu rosyjskiego.

Naszym kolegom z nad Newy nie bardzo wypada udawać „bogatych wujaszków,“ a mówiące o usługach, jakie nam oddali, wywołują tylko śmiech ironiczny. Co zaś dotyczy uwag o zjeździe lekarzy w Poznaniu i tej złośliwej uwagi, że polacy i czesi prawie nic nie zrobili dla nauki, na to musimy odpowiedzieć, że Rokitansky, Skoda i Albert każdy pojedynczo więcej zrobił dla wiedzy medycznej, niż wszystkie razem wzięte znakomitości lekarskie Rosyi, ze znakomitym Botkinem wynalazcą petersburskiej dżumy w dodatku.“

Napomnienie to tak odpierają *St. Petersb. Wiedomosti*:

„Na nasze wskazówki co do zwrotów przekonań przywódców czeskiego klubu, organ p. Riegra nie odpowiada i wykręca się wymyślaniem. Na naszą uwagę, że wspólnych naukowo-lekarskich interesów, głoszonych na poznańskim zjeździe lekarzy, czesi i polacy mieć nie mogą dla tej prostej przyczyny, że ani jeden, ani drugi z tych narodów nie dokonały nic kapitalnego w zakresie medycyny jako nauki, odpowiadają nam szykanowaniem profesora Botkina. Oddajemy pod sąd specyalistów rozstrzygnięcie kwestyi stosunkowych zasług rosyjskiego „ignoranta“ i czeskich luminarzów w rodzaju doktora Alberta; od siebie dodamy tylko, że i Rokitansky i Skoda, pomimo czeskich nazwisk, należą tak samo do czechów, jak dajmy na to Virchow i Flotow do słowian, dzięki zakończeniom na *ow*. Każdy student medyk wie o tem, że i Skoda i Rokitansky pisali swoje prace po niemiecku, nie zaś po czesku, że byli niemieckimi profesorami niemieckich uniwersytetów, że cały rozwój swoich zdolności zawdzięczają wyłącznie niemieckiej nauce i kulturze. Są więc owocem niemieckiego ducha i niemieckiej Austryi a z poznańskim czesko-polskim zjazdem i z „czesko-polską nauką“ mają tak mało wspólności, jak opiekun narodu czeskiego hr. Taaffe z kwestyą „irlandzką,“ chociaż dowodnie jest wiadomem, że utalentowany prezes ministrów nosi starożytne, czysto irlandzkie nazwisko. Ale dość już o czesko-polskich wzajemnych interesach naukowych. I Poznaniowi i Krakowowi i Pradze lepiej zapewne niż nam wiadomo, gdzie *der Hund begraben liegt*, i czy ten *Hund* przeznaczony był do naukowych, lekarskich doświadczeń, czy też do ozdobienia jego obroży tajemniczą, z milczącego porozumienia przyjętą, polityczną etykietą. *Politik* oburza się bardzo na to, że Rosya nie zrobiła nic dla czechów i że nasz były poseł przy dworze wiedeńskim, Nowikow, niemniej niż Andrasy walczył przeciw tryumfowi polsko-czeskiej sprawy. Tak jak gdyby reprezentant rosyjski był obowiązany dla dogodzenia d-rowi Riegrowi poświęcać nawet interesy rosyjskie i popierać anti-rosyjską politykę Hohenwarta! I teraz zresztą podobno Rosya chciałaby zagarnąć zupełnie w swoje ręce czechów i tylko do tego dąży, ażeby wziąć na siebie rolę bogatego wuja, opiekuna ubogiego siostrzeńca. O „bogatym“ wujaszku mówi się zresztą w tonie ironicznym. Ale bez wyjaśnienia zostaje powstające samo z siebie pytanie: do czego właściwie bogatemu wujowi może być potrzebny ubogi siostrzeniec, rzucający się nadto w objęcia zbłąkanego syna Słowiańszczyzny?“

NIL NOVI.

Jest to już stara, chociaż ohydna prawda. Przyzwyczaili się ludziska do niej tak, jak do pór roku, jak do deszczów i gradów. Żydów zbito — zrabowano—takie to dziś naturalne, proste, zwykłe! Może nawet Stöckerzy i Istoczowie wraz ze swymi pomiotami dziwią się i smucą, gdy długo żadna wiadomość o wścieklіznie antisemityzmu nie dochodzi. Rozszalał się on znowu i rozbestwił w Niż. Nowogrodzie. Musiały tam zwierzęce instynkty rozpasać się zupełnie, kiedy gazety rosyjskie, z małymi wyjątkami nieprzyjazne żydom, podniosły krzyk zgrozy. Oto, jak opisują wypadek *Russkija Wiedomosti*.

„Dzielnica Niż. Nowgorodu, Kunawino, zwana inaczej Makarjewską, leży z drugiej strony rzeki Oki; tamże znajduje się dworzec kolei żelaznej, a bliżej ku Wołdze budynki i gmachy jarmarczne. Cała ta dzielnica jest gęsto zaludnioną przez wyrobników, drobnych handlarzy, niższych urzędników i żydów. Jest też ona ulubionem miejscem codziennej schadzki izraelitów z całego miasta, a to z powodu bliskości dworca kolei żelaznej i przystani parostatków. Rozruchy w nocy z 19 na 20 czerwca wynikły wskutek puszczonej przez niewiadomych prowokatorów pogłoski, że żydzi porwali i zamordowali pewne dziecko chrześciańskie. Pogłoska ta z szybkością błyskawicy rozszerzyła się w Kunawinie—i w jednej chwili zbiegły się tłumy ludności chrześciańskiej, które rzuciły się na synagogę, otoczyły ją wokoło i zaczęły się domagać oddania żywem lub martwem porwanego dziecka. Ciżba wzrastała z nadzwyczajną szybkością i w krótkim czasie liczyła około 3,000 ludzi. Tłum rozjuszony, odstąpiwszy od synagogi, rzucił się na dzielnicę, gdzie mieszkają żydzi.

Z jaką szybkością odbywały się spustoszenia, można brać stąd miarę, że w ciągu jednej godziny zrabowano 6 dużych domów, potłuczono w nich okna, powyłamywano drzwi, zniszczono wszystko, co się tylko zniszczyć dało i rozebrano nad nimi dachy. W samym początku rozruchów doniesiono o nich gubernatorowi, który przybył na miejsce katastrofy bardzo rychło i natychmiast nakazał pomoc wojskową, dwie kompanie piechoty i sotnię kozaków. Żołnierze jednak i kozacy nie mogli przybyć prędko na miejsce rozruchów, ponieważ znajdowali się w obozie, oddalonym o kilka wiorst od Kunawina. A tymczasem rozszalałe tłumy wyprawiały wściekłe orgie.

Wrzaski i ryki rozhukanej ciżby dawały się słyszeć na daleką przestrzeń. Siły policyi, która znalazła się niezwłocznie na miejscu katastrofy, zbyt były słabe, aby mogły stawiać jakikolwiek opór kilkotysięcznym rozjuszonym tłumom; lecz aby choć cokolwiek wściekłość ich uśmierzyć, wytoczono sikawki pożarne, z których tryskano wciąż strugami wody między ciżbę. Godnym jest uwagi fakt, że w domach, gdzie mieszkali razem żydzi i chrześcianie, mieszkania tych ostatnich pozostawały nietknięte i nienaruszone, żydowskie zaś spustoszone i zrabowane do szczętu. W jednym z domów piętrowych, gdzie górne piętro zajmowali żydzi a dolne chrześcianie — cały wierzch domu został zburzony i spustoszony do potworności, dach nawet zdjęto zupełnie, na dole zaś nie stłuczono ani jednego szkła w oknach.

Za przybyciem wojska i kozaków, tłumy bardzo rychło rozproszono i zaczęto zaraz zbierać wiadomości o skutkach kilkogodzinnych rozruchów. Oprócz kilku dużych domów zburzonych prawie do szczętu, oprócz niezliczonych szkód zniszczenia i rabunku, okazało się 6 zabitych i 11 ciężko rannych.

Domy w dzielnicy żydowskiej wyglądały jak gdyby po pożarze: wszystkie okna potłuczone, ramy w nich połamane w drzazgi, drzwi powyłamywane, dachy kawałami pozrzucane, ściany obłupane z tynków, w niektórych miejscach nawet popękane. Ulice całe były zasiane szmatami bielizny, żydowskiemi poszarpanemi książkami, pierzem i puchem. Wszędzie biwakowała policya i wojsko śród kałuż nalanej wody i błota. Miejscami jednak dawały się jeszcze widzieć oddzielne grupy rozszalałych uliczników.

Rankiem dla zapobieżenia dalszym rozruchom sprowadzono więcej wojska. Porządek przywrócony. Śledztwo w toku...“

Takiem sakramentalnem zapewnieniem kończą się zwykle te sromotne opowieści. Nawet *Moskowskija Wiedomosti* wołają; niech będą jakiekolwiek, aby ostatecznie były jakieś *prawa* dla żydów, którzy dziś są tylko ofiarami bezprawia, ubezpieczonemi o tyle, o ile tłum nie zapragnie ich skóry i mienia.

Kuryer codzienny podaje z pism rosyjskich nowe, straszne szczegóły o zaburzeniach w Kunawinie.

„Przestraszeni żydzi nie myśleli bynajmniej o obronie, szukając tylko schronienia gdzie kto mógł. Jeden z nich, 16-letni chłopiec, ukrył się na strychu. Rozbestwiona tłuszcza i tam znalazła nieszczęśliwego, a dostawszy go w ręce z głośnem „hura“ rzuciła go z trzeciego piętra stojącemu na dole tłumowi, który rozszarpał go na kawałki. Najwięcej zabijano kamieniami. Kilku żydów schroniło się do budki posterunku polic., otoczonej policyantami. Nie uratowało ich to wszakże od śmierci. Kiedy tłum wdarł się do mieszkania Deicelmana, tenże zaofiarował się oddać bezzwłocznie posiadane u siebie pieniądze w kwocie 8 tysięcy rubli, tudzież przyjąć religię chrześciańską. Tłum na chwilę się zawahał — lecz ktoś rzucił kamieniem w głowę Deicelmana. ofiara upadła na ziemię, a tłum bił już bez litości. Pomocnik Deicelmana, Arkit, nie uniknął takiegoż samego losu — głowa jego oderwana od tułowiu, padła tarzając się w posoce na ziemi. Nawet maleńkie dzieci mordowano bez litości, wyrzucając je na bruk i depcząc nogami. Ogółem liczba zabitych wynosi 11 osób.

Wobec tych scen uliczne rozruchy w Kijowie, Bałcie lub Odesie schodzą do znaczenia burdy ulicznej.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowy projekt. Dr. Lubelski znowu wystąpił z projektem przeznaczenia funduszu użyteczności publicznej na uregulowanie Wisły. A jak to pp. lekarze gniewają się, kiedy profani wydają sądy o medycynie!

Wisła. Pod tym tytułem wyjdzie zbiorowe pismo na rzecz powodzian w Galicyi. Udział w nim przyjęli i niektórzy literaci zagraniczni.

Z prasy rosyjskiej. Gazeta *Wostocznoje Obozrenje* otrzymało drugie ostrzeżenie za przedstawianie w fałszywem świetle działań administracyi.

Cło od surowca zagranicznego, którego sprowadzano rocznie do Cesarstwa 10½, a do Królestwa 4 miliony pudów, wskutek przedstawień zjazdów górniczych podwyższono z 6 do 15 kop. od puda. Cło powyższe wprowadzone będzie stopniowo i w ciągu dziesięciu lat nie zostanie obniżone.

Szkoła cukrownictwa. W Śmile (gub. kijowska) otwarte będą „klasy techniczne“ dla przygotowania cukrowarów. Urządza je kijowski oddział rosyjskiego Towarzystwa technicznego, posiadający na ten cel kapitał 25,000 rs., złożony przez właścicieli cukrowni. Kurs będzie dwuletni i obejmie krótki wykład chemii, fizyki, mechanikę praktyczną, praktyczny wykład cukrownictwa i rysunki. Oprócz lekcyj uczniowie praktykować będą w cukrowni należącej do hr. Bobryńskiego.

Praca małoletnich. Przędzalnie, tkalnie, papiernie, huty szklanne i fabryki tytoniu, tj. te właśnie zakłady, w których praca małoletnich najwięcej wpływa na ich zdrowie, otrzymały pozwolenie używać dzieci do robót w ciągu lat dwóch od daty wprowadzenia nowego prawa.

Prasa polska. We Lwowie wychodzić ma nowe pismo p. t. *Aeronauta*, organ zawiązującego się Towarzystwa *dla* powietrznej żeglugi. Prospekt jest istnem *curiosum* pod względem języka i sensu.

Adler: Denuncyant Kraszewskiego Adler wydaje w Wiedniu dwa dzienniki *Oeconomische Revue* i *Fata morgana*; obecnie jak donoszą *Birżewyja Wiedomosti*, nadesłał on do wielu rosyjskich instytucyj kredytowych numery swych pism napełnione pochwałami dla nich, z maleńką prośbą o wyliczenie mu 50 rs. Rozu-

mie się, banki nie odpowiedziały nawet wtedy; nadeszły powtórne listy w błagalnym tonie, wreszcie groźby. Ale ani jedno, ani drugie nie miało skutku.

Anegdota. *Warszawskij Dniewnik* opowiada, że przed kilku laty w Wilnie mieszkał dygnitarz, który szczególniej niecierpiał pewnej części prasy rosyjskiej, zwłaszcza zaś *Mosk. Wiedomosti.* Pewnego razu podwładny urzędnik, wyjeżdżając zagranicę, przyszedł pożegnać zwierzchnika i zapytał, czy ten nie da mu jakich poleceń. „Odszukaj pan we Frankfurcie statuę Gutenberga i pluń mu pan w twarz w mojem imieniu“ — rzekł dygnitarz.

Rabies antiruthenica. Hr. Golejewski, dyrektor Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Galicyi, rozkazał fryzyerowi, mieszkającemu w domu Towarzystwa, znieść szyld ruski, grożąc w przeciwnym razie wymówieniem kontraktu. Pan Golejewski chwali się zwykle, że w żyłach jego „płynie krew ruska.“

Teatr polski w Ameryce. W New-Yorku zawiązało się towarzystwo dramatyczne imienia Fredry, które daje przedstawienia w języku polskim.

Serwituty. W 9 guberniach Królestwa (oprócz radomskiej) zatwierdzono w r. z. 739 umów o służebności. W radomskiej zaś od czasu uwłaszczenia włościan wykupiono 1153 służebności leśnych i 1010 pastwiskowych.

Akcyza. Dochód z akcyzy od napojów i opłaty patentowej w Królestwie obliczony został na 16,320,000 rubli.

Mianowanie. Dr. L. Löwenfeld został lektorem języków słowiańskich w uniwersytecie wrocławskim.

Samobójstwa. Według wykazów statystycznych, najwięcej samobójstw zdarza się w Lipsku, Dreznie, Wrocławiu i innych większych miastach niemieckich. Wbrew powszechnie przyjętemu mniemaniu Londyn zajmuje jedno z ostatnich miejsc.

Nowa łaska. Chcąc okazać *życzliwość* wyznaniu unickiemu, papież pozwolił bernardynom przyjmować kleryków rusinów. Wyćwiczeni w katolicyzmie wychowańcy mają z czasem wytworzyć zakon ruskich bernardynów *ad majorem Romae et Poloniae gloriam*, jak z przekąsem dodaje *Diło.*

Wytrwali. W Lublinie aresztowano 3 złodziei rodem z Lubartowa, którzy w ciągu roku dwadzieścia razy odstawiani byli do miejsca urodzenia.

Zajście. Prezes zjazdu sędziów pokoju w Czerkasach na posiedzeniu pokłócił się z prokuratorem i kazał mu wyjść, a kiedy ten nie chciał, prezes wydał służbie rozkaz wyprowadzenia go. Wypadek ten pierwszy raz zdarza się w historyi sądownictwa.

Ludność Bulgaryi podług ostatniego spisu składa się z 1,345,000 bulgarów, 527,000 turków, 49,000 rumunów, 34,000 cyganów (?), 14,000 żydów i 34,000 innych narodowości.

Stowarzyszenia. W Galicyi znajduje się 221 stowarzyszeń, z tych 183 kredytowych a w nich 83,408 członków z kapitałem własnym 4,092,694 złr. i 8,305,636 wkładów. Przed 10 laty było tylko 78 spółek, 13,500 stowarzyszonych i 750,000 kapitału.

Nekrologia. Mikołaj Berg, lektor języka rosyjskiego w uniwersytecie warszawskim. Zmarły tłomaczył wiele z polskiego, jego przekład *Pana Tadeusza* posiada niemałą wartość. Berg należał do starej generacyi słowianofilów, którzy wzajemność słowiańską uprawiali głównie w sferze stosunków literackich, w politykę nie bawił się, nawet wtedy, gdy redagował *Dniewnik Warszawskij,* który pod jego kierunkiem nie wychodził z granic właściwych dla organu urzędowego. Mając wstęp do sekretnych archiwów, napisał *Zapiski o polskich powstaniach,* dzieło najbardziej bezstronne ze wszystkich, jakie w tym przedmiocie wyszły w języku rosyjskim. Bezstronnym zresztą był on zawsze względem naszego społeczeństwa, a jeżeli niekiedy się mylił, to nie ze złej woli, więc też imię jego zasłużyć sobie powinno na życzliwe wspomnienie.

— Jan Gustaw Droysen, sławny historyk niemiecki, profesor uniwersytetu berlińskiego. Najznakomitszem jego dziełem jest *Historya polityki pruskiej,* którą doprowadził do wojny siedmioletniej. Mimo niezaprzeczonej uczoności Droysen w ocenie faktów historycznych był stronnym, na wszystko bowiem zapatrywał się ze stanowiska wyłącznie pruskiego.

— Maryan Kowalski, profesor astronomii w uniwersytecie kazańskim. Po polsku pisał niewiele, głównie zaś w językach rosyjskim i francuskim.

Gmina paryska odmówiła bezpłatnego udzielenia miejsca na pomnik Gambetty.

Towarzystwo historyczne w Petersburgu wydaje tom materyałów historycznych, zawierający listy z Polski Bułhakowa od 1783 do 1792, listy Platona Zubowa o Polsce od 1793 do 1795 i materyały, dotyczące powstania Kościuszki.

Pożary. Ze 160,599 budynków spalonych w ciągu ostatnich dwunastu lat w Austryi na Galicyę przypada 66,564, tj. 41,7%.

Statystyka dróg żelaznych. Dochód ogólny dróg żelaznych rosyjskich w roku zeszłym wynosił 233 milionów rs. Pasażerów przewieziono 36 mil. osób, towarów: komunikacyą pośpieszną 7 milionów i zwykłą $2^1/_2$ miliardów pudów. Długość sieci kolejowej wynosiła 22,211 wiorst, t. j. zwiększyła się w ciągu roku o 618 wiorst.

Kasy oszczędności. W Królestwie znajduje się 18 kas oszczędności: 10 w miastach gubernialnych a 8 w powiatowych. Wkłady wynoszą rs. 1,549,764, z tego na kasę warszawską przypada 1,368,668 rs. i z 34,221 uczestników z ogólnej liczby 37,880.

Statystyka. Ludność Warszawy (oprócz wojsk) wynosząca w roku 1874 285,823 głów, dosięgła w końcu zeszłego roku cyfry 404,889, czyli powiększyła się o 42 procent.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. K. Met. w Jarowem. Wysłaliśmy już dwa razy; raz nam poczta zwróciła. Wyślemy znowu.

P. A. Jan. w Czyhirynie. Słowniki Dubrowskiego. Gramatyki takiej nie znamy.

P. St. M. Ł. w Krakowie. Z pracy pańskiej korzystać nie możemy.

P. Tur. Drugi kurs Zdanowicza. Bardzo dobrą jest książeczka Chociszewskiego, ale do nas niema wstępu.

M. O. w Żytomierzu. Z. Miłkowski, Genewa, Chemin Sautter 19.

OFIARY.

Na kolonie letnie. Kłopotowski z Charkowa rs. 2, Leonard Eichler z Nieszawy k. 50.

Na pomnik Mickiewicza. Jedna z czytelniczek rs. 1.

Na Kasę Mianowskiego. Z Kijowa: Bronisław Męczyński rs. 5, Stanisław Męczyński rs. 5, Zygmunt Lisicki rs. 5, N. N. rs. 5; Dr. Fr. Ostrowski z Olgopola rs. 15.

Dla studentek polek w Petersburgu. Xy rs. 6.

Dla powodzian. Pozostałe z lekcyi na Złotej rs. 1 k. 20, Z. G. rs. 1, F. G. rs. 4, H. G. rs. 5, W. Wilczyńska rs. 1, M. M. rs. 6, Koeppe weterynarz rs. 3, Ręczlewski rs. 10.

Sprostowanie. Na budowę gmachu Tow. szt. piękn. Kłopotowski z Charkowa (nr. 22) zam. kop. 50 czyt. rs. 1 kop. 50.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Іюня 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.